

BIBiK

Biuletyn Informacji Bibliotecznych i Kulturalnych

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Łodzi

spotkanie z *Bogusławem Kaczyńskim*

krytykiem muzycznym, popularyzatorem opery, operetki
i muzyki poważnej, menedżerem,
twórcą Europejskiego Festiwalu im. Jana Kiepury
w Krynicy, Festiwalu Muzyki w Łańcucie, autorem wielu
programów w Telewizji Polskiej, założycielem Fundacji
„ORFEO” wspierającej kulturę narodową, propagującej
sztukę wśród dzieci i młodzieży

Prowadzenie spotkania
Anna Kolasa

6 listopada 2008 r.

Spotkaniu towarzyszy wystawa prezentująca pochodzącą ze zbiorów WiMBP korespondencję Ady Sari i Ireny Eichlerówny do Stefana Heine - łódzkiego krytyka teatralnego, tłumacza literatury, muzykoznawcy, poety i suflera.

Wystawę można oglądać do 26 listopada br.



Bogusław Kaczyński o sobie:

- Mam poczucie humoru, a poza tym jestem bardzo towarzyskim człowiekiem, w co pewnie pan nie uwierzy. Bardzo lubię chodzić po sopockim moło w spodniach z żeglarskiego płótna i słuchać, jak ludzie mnie nie akceptują. Bo zupełnie niechcący wykreowałem klasycznego Kaczyńskiego. Ale matka od najmłodszych lat ubierała mnie w białe koszule, muszki. A ja byłem „materiałem podatnym”.
- Nie lubię swojej apodyktyczności. Walczę z tym, ale trudno mi to „idzie”. Bywam też bezwzględny wobec ludzi niedostatecznie zaangażowanych w swoją pracę. Pewnie dlatego, że sam pracuję dzień i noc. Nie lubię też kłamstwa, gór, wycieczek w góry, burzy, piorunów i wiatru. Lubię morze, otwartość, szczerłość, ludzi którzy mają dziecinne usposobienie i dziecinne charaktery. Sam zresztą uważam siebie za duże dziecko.

Bogusław Kaczyński

Urodził się 2 maja 1942 r. w Białej Podlaskiej. Ukończył teorię muzyki na Akademii Muzycznej w Warszawie. Dziennikarz, publicysta i krytyk muzyczny, pianista, popularyzator opery, operetki i muzyki poważnej, teoretyk muzyki, twórca telewizyjny, animator kultury.

Od lat popularyzuje muzykę poważną. Autor licznych felietonów i recenzji (m.in. "Teatr", "Ruch Muzyczny", "Kultura"), audycji radiowych i telewizyjnych, m.in. *Operowe qui pro quo* (1974-78), *Zaczarowany świat operetki* (1979-81), *Rewelacja miesiąca* (od 1979). Obecnie co jakiś czas można go zobaczyć w TVP 2 oraz w innych stacjach telewizyjnych w kraju i za granicą (m.in. w Nowym Jorku, Berlinie, Rzymie, Hawanie, Paryżu, Moskwie).

Był twórcą Festiwalu Muzyki w Łańcucie, którym kierował w latach 1980-90, od 1982 dyrektor Festiwalu im. J. Kiepury w Krynicy. W latach 1993-96 był prorektorem Akademii Muzycznej w Warszawie, w latach 1994-98 dyrektorem Teatru Muzycznego "Roma". Jest autorem serii płytowej "Bogusław Kaczyński – Złota Kolekcja". Prowadził transmisje telewizyjne najważniejszych wydarzeń muzycznych w kraju i za granicą, m.in.: Konkurs Chopinowski, Konkurs im. Henryka Wieniawskiego, koncerty Pavarottiego, Plácido Domingo, jubileusz Filharmonii Narodowej, festiwal w Sopocie, Koncerty Noworoczne z Wiednia, konkursy Eurowizji.

W wyniku plebiscytu *Polityki* *Koniec wieku* zaliczony został do grona dziesięciu największych osobowości telewizyjnych XX stulecia. Jesienią 2002 roku podczas gali z okazji 50-lecia TVP otrzymał statuetkę i tytuł „Gwiazda Telewizji Polskiej”. Został również uhonorowany nagrodą „Piękniejsza Polska”.

W marcu 2007 doznał udaru mózgu skutkiem czego była częściowa utrata zdolności mówienia oraz paraliż prawej strony ciała. Wyszedł ze szpitala 30 maja 2007 roku. Po intensywnej rehabilitacji większość dolegliwości ustąpiła. W sierpniu 2007 ponownie kierował festiwalem w Krynicy.

Autor książek: "Dzikie orchidee" (Warszawa 1985), "Ucieczka do Karyntii. Rzec o A. Bergu i jego operach" (Warszawa 1987), "Wielka sława to żart" (Warszawa 1992), „Kretowisko” (Poznań 1991), „Xenia Grey : księżna Chicago” (Warszawa 1993), „Krynicki Benefis” (Warszawa 2000), „Symfonia w dolinie słońca” (album wydany w Niemczech), „Teatr Kaczyńskiego - Roma” (Warszawa 2008). Trzykrotnie otrzymał "Złoty Ekran", nagrodę "Wiktora" oraz "Super-Wiktora". Założyciel Fundacji ORFEO, która wspiera kulturę narodową i propaguje sztukę wśród dzieci i młodzieży.

Nagrody i odznaczenia

- 1982 - za cykl "Zaczarowany świat operetki"
 - 1983 - „Złoty Ekran”
 - 1985 - „Nagroda Neapolitańska” za propagowanie wysokiej kultury na świecie
 - 1995 - Kawaler Orderu Uśmiechu
 - 1996 - „Lider Promocji Kultury Polskiej” (nagroda międzynarodowa)
 - 1997 - tytuł "Honorowy Białostoczanin Roku"
 - 2000 - Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski
 - 2002 - Honorowy Obywatel Krynicy
 - 2003 - Honorowy Obywatel Łańcuta
 - 2003 - laureat nagrody Ministra Kultury i Sztuki
 - 2005 - tytuł „Zasłużony dla Ziemi Sądeckiej”
 - 2006 - tytuł "Mistrz Mowy Polskiej"
 - 2008 - Honorowy Obywatel Białej Podlaskiej
- Czterokrotny laureat nagród indywidualnych za działalność radiową i telewizyjną prezesa Radia i Telewizji, trzykrotnie otrzymał "Złoty Ekran" jako pierwszy zdobył "Wiktora" (3 statuetki) oraz "Super-Wiktora".

Filmy i spektakle

- 1979 - Aria dla atlety - konsultant muzyczny i specjalista operowy
- 1984 - Baryton - konsultant muzyczny
- 1984 - Trzy młyny - konsultant muzyczny
- 1995 - Słowik Warszawy - obsada aktorska - redaktor



Na podstawie:

Ikona stylu, smaku i wychowania Bogusław Kaczyński pięknie opowiada o studiach / rozmawiała Dorota Malinowska // *Dlaczego?* 2000, nr 4, s. 38

<http://www.filmpolski.pl>

http://pl.wikipedia.org/wiki/Bogusław_Kaczyński

Nie boję się samotności

Znany krytyk, wielka osobowość polskiej telewizji znów jest we wspaniałej formie. Po chorobie, która omal nie przykuła go na zawsze do łóżka, nie ma prawie śladu. Są za to wspomnienia i powrót do niezapomnianych czasów dzieciństwa...

Spałem z owieczką

Urodziłem się w Białej Podlaskiej. Pod jednym dachem żyły trzy pokolenia: rodzice, dziadek, siostra i ja. Mieliśmy mnóstwo zwierząt. Moja była owieczka. Spałem nawet z nią, ale pewnej nocy znikła. Rodzice powiedzieli, że uciekła. Po latach dowiedziałem się, że rodzice oddali ją na wieś, bo przemieniła się w dorosłe zwierzę - wspomina Kaczyński.

W jego rodzinnym domu honorowano zasadę, że to mężczyzna pracuje zawodowo, a kobieta prowadzi dom. Opowiada: - Ojciec przed wojną pracował w miejscowej fabryce samolotów. Do dziś pamiętam przyjęcia, które mama organizowała. Kiedyś przyszło 60 osób, cała orkiestra Filharmonii Lubelskiej. Po tych czasach zostały mi adamaszkowe obrusy wielkości pokoju. Nie mam co z nimi zrobić, więc chyba potnę je na ścierki. Ale szkoda!

Baliśmy się ojca, wystarczyło, że usłyszeliśmy od mamy: "Bo powiem tacie..." - i już pokornieliśmy. Od taty nie dostaliśmy nigdy nawet klapsa, ale od mamy czasami... ścierką.

Choć jestem zodiakalnym Bykiem, to waleczna była moja siostra Anna. Pamiętam, kiedyś wiozłem ją na sankach i nagle czuję, że zrobiły się lekkie. Odwracam się, a ona "łubu-du", bije chłopaka. Pytam: - "Co się stało?". Ona na to: - "Już nigdy nie nazwie cię kaczką". A ja nawet tego nie słyszałem.

Zawiodłem swego ojca

Moi rodzice byli bardzo muzycalni. Ojciec zdecydował, abyśmy grali na pianinie. Zaczynałem w wieku 2,5 roku. Kiedy byłem rok starszy, dałem pierwszy koncert w ogromnej sali w Domu Strażaka. Grałem "Jaś mi z jarmarku przywiózł pierścione". Pamiętam, ojciec stał w kulisie i dawał mi znaki: wstań, uklon się, zacznij grać. Wtedy zaczynałem. Siostra zbuntowała się wcześniej, porzuciła pianino w wieku 12 lat. Została matematykiem. Sam poszedłem na Akademię Muzyczną w Warszawie, czym uradowałem ojca. W 1959 roku zaproszono mnie po raz pierwszy do telewizji. Szklany ekran zafascynował mnie. Pomyślałem: "To nie dla mnie siedzenie przy fortepianie 6-8 godzin dziennie" - wspomina Kaczyński. Pianistą nie zostałem, ale życie go rozpieszczę: - Poznałem najznamienitsze gwiazdy opery, napisałem 10 książek, miałem własne programy telewizyjne. Robiłem karierę, a mimo to ojciec nigdy nie wybaczył mi porzucenia fortepianu - wspomina.

Muzyka ważniejsza niż żona

W 1978 roku Bogusław Kaczyński mieszkał w Nowym Jorku, gdy dostał propozycję pracy dla amerykańskiej telewizji. - Miałem prowadzić program na włosko-polskim kanale. Radziłem się wielu sławnych ludzi, co robić? Przedtem poza Polską nie byłem dłużej niż pół roku i zawsze do domu pędziłem jak na skrzydłach. Bałem się życia na obczyźnie. Myślałem: - Skończę i pojedę do nich za rok. Ale po roku nikt na mnie już tam nie czekał. Nieraz myślę o tej odrzuconej propozycji. Jak potoczyłyby się moje losy? - zastanawia się. Dla mnie Nowy Jork to stolica świata, moje ukochane miejsce, ale gdy widzę swoją publiczność... Kilka dni temu, gdy kuśtykając, wyszedłem na scenę w Katowicach, owacjami przywitało mnie 6 tys. ludzi. Wtedy pomyślałem: - Dobrze wówczas zrobiłem, że wróciłem do swojej publiczności!

Pyta pani o moje małżeństwo. Byłem żonaty, ale po pięciu latach rozstaliśmy się. Chwila jakiejś fascynacji, chciałem spróbować, jak by to było. Ale nie udało się. Dla sztuki porzuciłem życie prywatne. Bo sztuka jest zazdrosna i musi być najważniejsza, a cała reszta to tylko dodatek - mówi z przekonaniem.

Książka dla otuchy

- Nie boję się samotności i starości. Przede mną jeszcze tyle do zrobienia - wyznaje Kaczyński. Udaru mózgu dostał w marcu ub. roku. Potem była długa i trudna rehabilitacja i setki e-maili ze słowami wsparcia od ludzi z całego świata. To właśnie ta korespondencja natchnęła pana Bogusława do napisania książki o zmaganiach z tą straszną chorobą. - To będzie książka o moim udarze i sposobach dochodzenia do sprawności. Chcę, by dodała wszystkim cierpiącym otuchy - mówi Bogusław Kaczyński i po raz pierwszy opowiada o dniu przed wypadkiem, gdy doznał udaru mózgu. - Kiedy przeglądam moje liczne wywiady opublikowane na krótko przed wypadkiem, powtarza się w nich, że jestem bardzo zmęczony. 5 marca wróciłem ze Sztokholmu, gdzie w miejscowej klinice odwiedziłem moją siostrę Annę. Lekarz powiedział, że zostało jej niewiele dni życia. To był rak płuc - panu Bogusławowi, gdy to mówi, łamie się głos. - Na lotnisku w Warszawie wylądowałem o godzinie 21, a o 9 rano następnego dnia leżałem już w szpitalu. Bogusław Kaczyński nie był na pogrzebie siostry, był sparaliżowany. Do dziś jednak nie chce, by przyjaciele, którzy ją żegnali w Sztokholmie, opowiedzieli mu o ceremonii. - Miała przejść na emeryturę, planowaliśmy, że zamieszkamy razem. Nie mogę się z tym pogodzić, nie przyjmuję do wiadomości, że jej nie ma - mówi pan Bogusław.

Podczas długiego pobytu w szpitalu Kaczyński widział cierpienie i śmierć ludzi. Ich dramaty. Słyszałem, jak dzieci mówiły do swoich sparaliżowanych rodziców: - Musisz iść do domu starców, my cię nie zabierzemy, gdyż nie mamy warunków i czasu na opiekę. Odkąd Bogusław Kaczyński wyzdrowiał, zasypywany jest setkami e-maili. - Zawsze odpisuję - mówi pan Bogusław. - Kilka dni temu dostałem pełnego rezygnacji e-maila od znajomej młodego chorego człowieka. Pytała mnie, co robić? Rodzina i żona go opuścili. Starłem się dodać jej otuchy. Napisałem, że nawet po 10 latach rehabilitacja przynosi oczekiwane efekty. Należy tylko chcieć i wierzyć - przekonuje.

Iwona Bugajska

Nie boję się samotności / Iwona Bugajska // *Super Express* 2008-06-20.
<http://www.boguslaw-kaczynski.pl>

TRZECIA KACZKA IV RP

Przyznaje, że jest pedantem. W szafie wiesza koszule w porządku kolorystycznym, czyli od najjaśniejszej do najciemniejszej. Słynie też z nieskazitelnych manier. Kiedy na towarzyskim spotkaniu trafi mu się brudna od jajeczniczy łyżeczka, chowa ją w rękawie i idzie do łazienki umyć, bo nie wypada zwracać uwagi gospodarzowi. Popularność zdobył dzięki telewizji. Karierę wywróżyła mu pewna książeczka węgierska w Wiesbaden. Polubili go nawet robotnicy Ursusa, przyznając przed laty tytuł Człowieka Roku. Recenzenci na początku surowo go oceniali. Zwłaszcza po tym, jak na biletach i afiszach festiwalu w Łańcucie kazał napisać: „Wymagany strój wieczorowy”. Tak wtedy tłumaczył swój pomysł: „Skoro śpiewaczki występują w długich sukniach, to dlaczego pani Kamińska ma siedzieć w rozciągniętym swetrze i z nie umytą głową”. Dziennikarze nazwali to „fanaberią Kaczyńskiego”, a publiczność doceniła.

Telewizjowcy zaczęli przysyłać mu prezenty: serwetki, szaliki i pantofle robione na drutach. Jeden pan zrobił coś niesamowitego – podarował mu dużą granitową płytę nagrobną z portretem na tle łańcuckiego zamku.

– Mam ją do dziś, bo jest piękna – przyznaje Bogusław Kaczyński. Nie ogranicza się tylko do muzyki poważnej. Występuje na estradzie w towarzystwie tak egzotycznych kompanów, jak Krzysztof Skiba czy Kuśba Wojewódzki. Zagrał też w serialu „Niania”, w którym – jak sam przyznaje – czuł się świetnie. Ma dwie słabości: „M jak miłość” – jego bohaterów uważa za swoją rodzinę oraz „Przeminęło z wiatrem” – to wybitne dzieło zna na pamięć.

Teraz pracuje nad autobiografią. Opíše w niej m.in. nieszczęście, które go niedawno dotknęło. Zapewnia, że to co się w jego życiu wydarzyło, przypomina tragedię grecką.

Czy coś ją zapowiadało?

Nie, to się stało w ułamku sekundy, w fotelu, w którym teraz siedzę. Właśnie wyjeżdżałem do Olsztyna na koncert z Małgorzatą Walewską. Nagle zobaczyłem dwa telewizory. Pięć minut potem prawa strona ciała była już sparaliżowana.

Zawsze pan powtarzał za wielką Mirą Zimińską, że do kariery trzeba mieć zdrowie.

Do tego udaru sprzed kilku miesięcy – miałem.

O czym pan myślał podczas ataku?

O niedokończonych książkach, audycjach telewizyjnych i radiowych. Mój kalendarz był czarny od zaplanowanych wyjazdów zagranicznych.

A o śmierci?

Nie dopuszczałem do siebie tej myśli. W szpitalu wokół mnie na tę chorobę umierali ludzie. Udawałem, że tego nie widzę. Bałem się, żeby nie być sparaliżowanym i nie stracić pamięci.

Dlaczego według pana to się wydarzyło. Przez przepracowanie?

Na pewno też, ale przeżywałem także kolosalny stres spowodowany śmiertelną chorobą mojej siostry Anny, która mieszkała w Sztokholmie. Ostre stadium nowotworu. Byłem w takim szoku podczas rozmowy z lekarzem, że połowy jego słów w ogóle nie rozumiałem. Moja głowa nie chciała tego słuchać. Wróciłem do Polski w nocy, a rano miałem udar. Nie zdążyłem nawet zadzwonić do niej i powiedzieć, że doleciałem szczęśliwie. Opowiedziałem jej wszystko dopiero dwa tygodnie później, kiedy mogłem sprawniej mówić. Umarła wkrótce potem. Ja leżałem trzy miesiące sparaliżowany w łóżku szpitalnym, a ona umierała. Jak w tragedii greckiej.

To była jedyna pana krewna?

Tak. Byliśmy ze sobą bardzo związani. Codziennie telefonowaliśmy do siebie.

I co roku przyjeżdżała na festiwal do Krynicy?

Zawsze siedziała w tym samym fotelu w pierwszym rzędzie. Mówiąc, patrzyłem na nią. W zeszłym roku bardzo mi jej brakowało. Wyszedłem na scenę, podpierając się laską. To było trzy miesiące po wyjściu ze szpitala. Publiczność na stojąco zaśpiewała mi „Sto lat”. Miałem łzy w oczach.

Wielbicie w chwilach słabości pomagają czy przeszkadzają?

Serdeczność publiczności wiele dla mnie znaczy. Dostałem 10 tys. mejli i ogromne ilości listów. W szpitalu odwiedzali mnie również zupełnie obcy ludzie. Przynosili święte obrazki. W mojej intencji zamówiono około 60 mszy na całym świecie. Dostawałem zawiadomienie o dacie i godzinie tych nabożeństw. Wzruszało mnie to.

Być może dzięki temu tak szybko zaczęła wracać sprawność?

Pomogło mi też to, że jestem chorobliwym optymistą. Mam tę cechę po dziadku. Podobnie jak zdolności ogrodnicze. On miał piękny ogród i uważał, że rośliny przywiązują się do właściciela. Rzeczywiście, po jego śmierci najpiękniejsze okazy – mimo należytej opieki – zmarniały. Też rozmawiam ze swoimi kwiatami. Są dla mnie jak ludzie. Co roku ustawiam na balkonach 40 skrzynek surfinii, pelargonii i petunii. Gdy byłem w szpitalu, tęskniły za mną. Oleandry, które tak kocham, bo przypominają mi Sycylię, całkiem zmizerniały.

A zwierzęta?

Nigdy nie mogłem sobie na nie pozwolić, bo za często wyjeżdżałem. Z siostrą planowałem to zmienić. Chcieliśmy wziąć kota i psa. Za pięć lat, po przejściu na emeryturę, miała zamieszkać ze mną. Była w Szwecji jednym z aktuariuszy, specjalistów od szacowania ryzyka projektów finansowych. Praca wiele dla niej znaczyła.

U was to chyba rodzinne?

Tak. Taka pozytywistyczna familia.

Rodzice byli muzykami?

Nie. Mama zajmowała się dziećmi. Ojciec był chemikiem, ale słuchaliśmy muzyki i graliśmy na instrumentach.

Pan na pianinie. Jak wyglądał debiut?

W Domu Strażaka w Białej Podlaskiej. Piękna sala z balkonem, sceną, kulisami i garderobami. Wiele bym dał, żeby teraz ją zobaczyć. Nie było mnie tam kilkadziesiąt lat. Wykonałem „Jaś mi z jarmarku przywiózł

pierścione” – jedyny utwór, jaki umiałem. Zagrałem tak ładnie i równiutko, że ludzie wołali o bis. Nie wiedziałem, co to znaczy. Popatrzyłem na ojca, który zawsze podczas moich występów stał w kulisie. Kiwnął głową, więc zagrałem jeszcze raz. Do dzisiaj bym bisował, gdyby nikt mnie stamtąd nie zabrał.

Sala nazywała się „Skala”?

Dopiero 30 lat potem, gdy zasiadłem na tronie króla Emanuela w mediolańskiej „La Scali” uświadomiłem sobie podobieństwo tych nazw. Pomyślałem, że moje życie zatoczyło koło: z bielsko-podlaskiej „Skali” do mediolańskiej „La Scali”.

Dlaczego nie został pan pianistą?

Pod koniec studiów zrezygnowałem z grania. Ukończyłem wydział teorii muzyki. Sforsowałem rękę. Ćwiczyłem za dużo. Sprawiała mi przed występami figle. Przygotowywałem kompresy, nosiłem na temblaku, chodziłem na naświetlania i masaże. Nic nie pomagało. Żartuję, że byłem najbardziej znanym pianistą w powiecie. Miałem mnóstwo koncertów. Przezywali mnie „kaczka”.

Nie tylko pana.

Prezydenta i byłego premiera też. Zdarzyła się jakaś związana z nimi przygoda? Przez jakiś czas pisano o mnie „trzeci bliźniak.” Odpowiadałem na to dowcipem: „Kiedyś byłem pierwszym Kaczyńskim w Polsce, a teraz muszę się zadowolić trzecią pozycją”.

Zawsze czuł się pan dobrze na scenie?

Byłem nerwusem. Mówiłem ojcu, że się boję występu. Nie spałem w nocy, na kołdrze palcami ćwiczyłem niczym na klawiaturze fortepianu. Tato mi powtarzał: „Będzie dobrze. Przecież ty synku nigdy się nie pomyliłeś”. Do dziś przywołuję w pamięci te słowa. Nadal nie śpię w nocy z nerwów przed występem na estradzie lub w telewizji. Od wypadku czuję nawet większą treść, bo jestem niepełnosprawny. Mam problemy z wejściem na scenę.

Figurki słoni nie pomagają. Przecież podobno mają przynosić szczęście?

Mam ich 2,5 tys. Część leży w pudełkach, a część w gablotkach. Wszystkie z trąbami podniesionymi do góry. Czy mi pomagają? Jeśli chodzi o chorobę, to oby tak dalej. Rehabilitacja przynosi rezultaty. Nie mogę co prawda pisać, ale za to podpisać się już tak.

Czyli nie przerwał pan pracy nad trzema rozpoczętymi książkami?

Dyktuję tekst asystentce. Zazwyczaj piszę piórem. Nie lubię na komputerze. Muszę czuć kontakt z kartką papieru. Jestem starej daty.

Dlatego też kocha pan winylowe płyty?

Dla mnie mają duszę. Słyszeć traski, ale czuć też głębię nagrania. Zbieram też tzw. pirackie egzemplarze. Tak można je nazwać. Są to wydane nielegalnie przedstawienia z Metropolitan Opera czy Covent Garden. Przed laty wytrawni melomani nagrali je na ukrytych w rękawach malutkich magnetofonach. Kupuje się je na świecie w specjalnych sklepach. Nie można porównywać nagranej w ten sposób Marii Callas śpiewającej w meksykańskiej operze, z krążkiem CD kupionym na bazarze. Pirackie płyty to perełka dla kolekcjonerów. Ani soliści, ani orkiestra nie dostali za nią honorarium, ale godzą się na to, bo wydawnictwo ma wartość historyczną.

Ile ma pan takich pirackich nagrań?

Niewiele, bo są bardzo drogie. Za „Borysa Godunowa” z Szalapinem trzeba zapłacić 12 tys. dolarów. Przedtem trzeba podpisać dokument, w którym zobowiązuje się do tego, że nikomu nie udostępni się nagrania.

A Pana najcenniejsza płyta w kolekcji?

„Tebaldi” w Metropolitan Opera. Ma około 30 lat. Kupiłem ją w Nowym Jorku.

W Polsce odbyło się kiedyś przedstawienie, które mogło być w ten sposób uwiecznione?

20 lat temu, kiedy Birgit Nilsson śpiewała w warszawskim Teatrze Wielkim „Toskę”. Epokowe wydarzenie. Byłem zdziwiony, że artystce podobała się akustyka naszej sali.

„Toska” to pana ulubiona opera. Ile razy ją pan widział?

Nawet nie wiem. Na pamięć znam każde słowo. Gdyby jakiś śpiewak zachorował, mógłbym go zastąpić w każdym momencie.

Płacze pan w operze?

Tak. Zawsze podczas arii Pinkertona z ostatniego aktu „Madam Butterfly”. To wyjątek, bo w operze uwielbiam wszystko, co jest pomiędzy ariami, gdyż te mam już osłuchane.

Mężczyzna ze łzami w teatrze. Nie wstydzi się pan tak przy ludziach?

Nie. Wzruszenie na wybitnej sztuce jest normalne. Nie tylko ja ocieram oczy rękawem smokingu.

Uważa go pan za swój znak rozpoznawczy. Ile pan ma smokingów?

Trzy, a muszek nawet nie liczyłem. Pochodzą z całego świata. Przekazałem trochę na aukcje dobroczynne. Niektóre poszły nawet za tysiąc złotych. Kupuję też fantazyjki. Ubolewam nad tym, że fraki wychodzą z mody. To bardzo ładny strój, ale nie ma gdzie w nim chodzić.

A do opery?

Już nie. Przeważają garnitury. Na świecie frak to też raczej coś wyjątkowego. Mój akurat jest w przeróbce u krawca, bo schudłem 20 kg.

Być może przyda się podczas kolejnych wystawień pańskiego autorskiego monodramu o Kiepurze. Podobno pobił wszelkie rekordy?

Dałem ponad tysiąc przedstawień na całym świecie. Dyrektor Opery Poznańskiej Sławomir Pietras zawsze powtarza: „Jeśli nie wiecie, jak powiększyć finanse opery, to zaproście Kaczyńskiego z monodramem o Kiepurze”.

Jerzy Gruza tak napisał o tym przedstawieniu: „Niespecjalnie przystojny, niespecjalnie ładny, troszkę już okrągły, nie pierwszej młodości. Nic nie robi, nic nie gra, nawet nie gestykuluje. Mówi i to wystarcza”. Nie obraził się pan?

Nie, bo to prawda. Podczas spektaklu tylko siedzę i mówię. Trwa to dwie godziny. Na sali panuje taka cisza, że słychać przelot muchy. Po zakończeniu widzowie dziwią się na głos: „O Boże, już koniec?”.

Jako aktor, reżyser i autor zapewne boi się pan przesądów teatralnych?

Tak. Gdy upadnie scenariusz – przydeptuję go. Nie wchodzę na scenę w kapeluszu albo w fioletowym ubraniu. Boję się też czarnego kota. Uczyłem tego wszystkiego studentów w Akademii Muzycznej, bo dzięki tym przesądom teatr jest teatrem, a nie biurem.

Nie tęskni pan za Romą, którą zarządzał pan przez cztery lata? Rozstanie było chyba bolesne, bo nazywał pan władze miasta hordą Hunów.

Już przestałem tak mówić. Teraz na maj chcę skończyć piękny album o Romie. Trzeba jednak przyznać, że zniszczono wspaniały teatr. Pracowałem codziennie od dziewiątej rano do drugiej w nocy, nie pytając o pieniądze. Robiłem wszystko łącznie z wywożeniem śmieci z piwnic, których nikt nie sprzątał od czasu wojny. Musiałem najpierw wyżebrać pieniądze na kontenery, żeby je wywieźć.

Teraz też pan o sobie mówi „żebrak” przy okazji festiwalu w Krynicy.

Taki jest los menagera kultury.

Najwybitniejsza gwiazda tego festiwalu?

Seta del Grande, primadonna La Scali, Oleg Kulko – tenor Metropolitan Opery i opery w Paryżu, Teresa Kubiak z Metropolitan Opera, Małgorzata Walewska, Grażyna Brodzińska i wiele innych.

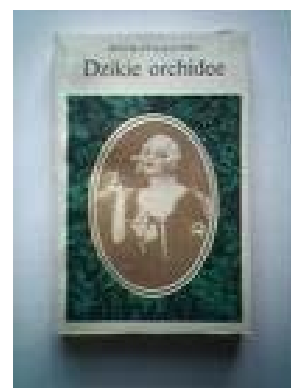
Kogo ze świata opery chciałby pan jeszcze poznać?

Znam wszystkich wielkich, a inni się jeszcze nie urodzili.

Grażyna Kuryłło

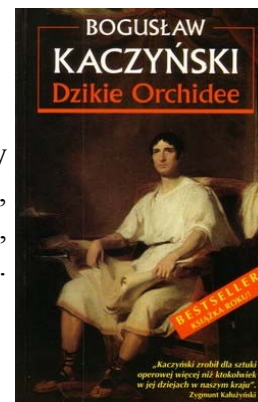
TRZECIA KACZKA IV RP / Grażyna Kuryłło // *Machina* 2008-01-20.

<http://www.boguslaw-kaczynski.pl>



Dzkie orchidee / Bogusław Kaczyński

Książka - bestseller zwyciężyła w plebiscycie na "Książkę roku", a Kaczyński uznany został "Autorem roku". Zbiór opowiadań poświęconych wielkim gwiazdom (Callas, Kiepura, Ada Sari) i słynnym muzycznym instytucjom (La Scala, Metropolitan Opera, Festiwale w Bayreuth). Cztery wydania w łącznym nakładzie 350 tysięcy egzemplarzy. Rekord w historii polskiego piśmiennictwa muzycznego.



Ucieczki do Kartynii / Bogusław Kaczyński

Opowieść o życiu słynnego wiedeńskiego kompozytora Albana Berga i dziejach jego zadziwiających i zarazem bulwersujących oper "Wozzeck" i "Lulu". Pierwsza biografia Berga wydana w naszej części Europy. Nakład 50 tysięcy egzemplarzy.



Kretowisko / Bogusław Kaczyński

Bestseller wydawniczy, zapis walki o fotel dyrektora Teatru Wielkiego. "Kretowisko" nieoczekiwanie wyniosło Kaczyńskiego na pozycję pierwszego kronikarza polskiego stanu świadomości u progu "własnego domu" - pisano w "Rzeczypospolitej". Książka bezkompromisowa, odważna, prawdziwa. Nakład 200 tysięcy egzemplarzy.

MISTRZOWIE ODCHODZĄ

-Niedawno zakończył się kolejny Festiwal im Jana Kiepury w Krynicy, największy letni festiwal w Europie Środkowej. Jak udało się Panu mimo choroby dopiąć artystycznie i organizacyjnie tak wielką imprezę?

-To był niesamowity wysiłek, bo sprawami festiwalu zajmowałem się leżąc przez 3 miesiące w łóżku szpitalnym. Oczywiście mogłem coś zdziałać tylko dzięki pomocy moim współpracownikom, bo sam nie miałem nawet dostępu do telefonu. Ale udało się na tą dwutygodniową imprezę zaprosić ok. 1000 wykonawców, którzy przyciągnęli masy publiczności, lekko licząc jakieś 60 tys. osób. Odbłyły się spektakle teatralne, operetkowe, musicalowe. Publiczność przyjechała nie tylko z Polski, ale z Europy, nawet z Australii i San Francisco. Teraz już przyjmujemy rezerwacje biletów na następny festiwal, choć jego program nie jest jeszcze znany. Zdobyliśmy kredyt zaufania, i zrobię wszystko aby goście festiwalu w przyszłości nie zawieść. Staram się tak układać program, aby każdego roku dostarczyć atrakcji różnym odbiorcom, i tym, którzy gustują w wysokiej kulturze, i tym którzy wolą raczej rzeczy popularne. Jednak jest cecha wspólna - mistrzostwo wykonania i profesjonalizm.

-W krynickich festiwalach biorą udział znani i doświadczeni artyści, ale zdarzają się też bardzo młodzi.

-Tak, w tym roku pojawiły się nawet debiuty, zaprosiliśmy młodych laureatów konkursów wokalnych, którzy nie tylko pięknie śpiewają, z ogromnym żarem należnym młodości, ale też mają świetną prezencję, co we współczesnym świecie jest wręcz niezbędne. Mówiąc brutalnie, tylko wtedy, jeśli mamy do czynienia z fenomenem nie zwracamy uwagi na grubasy, bo niedostatki sylwetki rekompensuje nam mistrzostwo głosu. Tak było w przypadku Montserrat Caballe czy Luciano Pavarottiego. Jednak, gdy mamy do czynienia z młodym artystą stawiającym pierwsze kroki na scenie oczekujemy też, by pięknie wyglądał.

-Prawa sceny są bezwzględne, czasami także wobec największych. Znana jest historia Marii Callas, której jednak pogoń za szczupłą sylwetką zaszkodziła.

-To był wielki dramat. Maria Callas w pewnym momencie życia, kiedy zdobyła już światowy rozgłos zapragnęła wyglądać jak syrena i wraz ze swym mężem Giovannim Battistą Meneghinim zgodzili się na podjęcie kuracji odchudzającej, jaką zaproponował jeden z rzymskich lekarzy. Polegała ona na spożywaniu specjalnego, bardzo twardego makaronu z odpowiednimi chemicznymi dodatkami. Callas całkowicie poddała się tym zaleceniom i schudła w krótkim czasie 30 kg. Rzeczywiście wyglądała pięknie ale pojawiły się problemy wokalne. Natura upomniała się o tak gwałtownie odebrane kilogramy, Callas zaczęła mieć problemy z głosem aż go w ogóle straciła. W końcu przeplaciła odchudzanie nagłą śmiercią w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Nie ona pierwsza i nie ostatecznie padła ofiarą specjalistów od odchudzania. Także słynni tenorzy Jussi Björling i Mario Lanza nie wytrzymali kuracji.

- We wrześniu minęło właśnie dokładnie 30 lat od śmierci Primadonny Stulecia. Jedynym polskim śpiewakiem, który dostąpił szczytu wspólnego występowania z nią był Bernard Ładysz, Pan natomiast był jedynym polskim dziennikarzem, który z nią rozmawiał.

- Spotkałem ją w 1973 roku. Rzec w tym, że Callas, choć była zupełnie normalnym człowiekiem miała też swoje fobie i nienawidziła dziennikarzy, bo twierdziła, że wyrządzili jej w życiu wiele krzywd. Dlatego nie przedstawiłem się jej jako dziennikarz, ale po prostu miłośnik muzyki z Polski i poprosiłem o autograf. Powiedziałem Polonia, a ona zrozumiała, że przybywam z Bolonii. Ale gdy wytłumaczyłem, że jestem z Warszawy, prosiła aby przekazać pozdrowienia rodakom. Później umówiłem się z nią na godzinną rozmowę w hotelu w Turynie. Była bardzo miła, czarująca. Marzyłem o tym, by zaprosić ją do Polski. Podjąłem już starania w naszej telewizji i wtedy dotarła do nas wiadomość, że Callas nie żyje. To był dla mnie kolosalny cios.

- Ponoć Callas była niedostępna.

- Prywatnie nie. Ona była niedostępna w swej profesji, wymagająca doskonałości od każdego, kto się obok niej znalazł. Żądała najwyższej maestrii nie tylko od siebie, ale także wszystkich partnerów. Podobnie bezwzględne i szalone wymagające były niektóre gwiazdy sceny w Polsce, jak np. Irena Eichlerówna. Ona już na pierwszej próbie nowej sztuki znała cały tekst na pamięć. Nie tylko swoją rolę, ale wszystkich partnerów. Jeśli ktoś z zespołu zaczynał się mylić, dukać, ona nie mogła tego pojąć, zaakceptować i odjeżdżała do domu. Profesjonalizm wymaga szalonej pracy nad sobą. Edith Piaff każdej nowej piosenki uczyła się przez kilka lat, zanim zdecydowała się zaśpiewać ją na estradzie.



A dzisiaj w studiu wystarczy niekiedy kilka minut, i już się śpiewa. Ale takich interpretacji już za chwilę się nie pamięta. Świat się zmienił w ustawicznej pogoni nie wiadomo za czym i dlaczego. Nikt nie ma czasu na pielęgnowanie jednej frazy, jednego dźwięku, czy choćby jednej piosenki. I efekty tego słyszać.

- Teraz każdego roku mamy nowe gwiazdy. W operze, i nie tylko.

- Te współczesne plastikowe primadonny nie mogą się równać z artystami z krwi i kości, o których powstały legendy. Jak o Callas i o Pavarottim. Znałem prawie wszystkich wielkich i jedno co ich łączyło, to traktowanie swojej pracy jako posłannictwa artystycznego. Dla nich jedna źle zaśpiewana nuta była dramatem. Oni czuli ogromną odpowiedzialność nie tylko dlatego, że zdobyli już najwyższą pozycję, ale z potrzeby ducha, aby pięknie zaśpiewać, wprowadzić do repertuaru zapomniane dzieła, wykreować wielkie role.

- Współcześni muzycy i śpiewacy skarżą się niekiedy, że źle znoszą konfrontację ze znakomitymi nagraniami światowych gwiazd, bo na ich tle mogą wypaść blade.

- Ależ tak było od zawsze. Legendarni artyści XIX wieku, choć nie dysponowali nagraniami stanowili wzór dla innych. Mistrz skupiał wokół siebie gromadę studentów, którzy mu usługiwali, podróżowali z nim, wciąż znajdowali się w jego orbicie. Tak było np. z Franciszkiem Lisztem, jego osobowość promieniowała na całą plejadę uczniów, pomagała tworzyć efekt artystyczny. Dziś takie zjawisko zupełnie nie istnieje. A że są mistrzowskie nagrania, to doskonała pomoc i można się na nich wzorować, zastanawiać, co zrobić, by tak pięknie śpiewać, lub choćby przybliżyć do tego poziomu. Może czasem trzeba zatrzymać rozpoczętą karierę, aby usunąć niedostatki w technice wokalne, zabrać się do solidnej nauki, bo tylko to zaprowadzi na Olimp sztuki.

-Jak pan ocenia sytuację opery w stolicy Polski?

-Należę do krytyków tego co jest robione bez pomysłu i nie służy polskiej operze. Warszawski Teatr Wielki zarówno za dyrekcji Mariusza Trelińskiego, jak Janusza Pietkiewicza i Ryszarda Karczykowskiego, nie spełnia oczekiwań publiczności, nie kształtuje gustów a poziomem odbiega od standardów światowych. To w ogóle ma niewiele, albo nic wspólnego z operą, jest poniżej oczekiwań i nadziei.

-Rozpaczliwe głosy dochodzą też z zespołu baletowego Teatru Wielkiego.

-Wysoki poziom sztuki baletowej był w Warszawie w latach 70, za czasów dyrekcji Marii Krzyszkowskiej. Szansą dla polskiej sztuki baletowej jest kultywowanie rosyjskiej tradycji tańca klasycznego. W tej dziedzinie moglibyśmy zachwycić świat, ale trzeba przede wszystkim kochać balet klasyczny i mieć zrozumienie dla wielkiej sztuki. Do Polski przyjeżdżają pozbierane z całego imperium rosyjskiego grupy tancerzy, które pod szyldem Moscow City Ballet potrafią zgromadzić tysiące widzów pragnących zobaczyć prawdziwy taniec klasyczny. Ostatnią warszawską premierą baletową na światowym poziomie, świetnie tańczoną, była "Bajadera", przygotowana przez Natalię Makarową. Rosyjska primabalerina i choreograf wzięła w karby cały zespół, pracowała dzień i noc. Pomagała jej asystentka Cintia Harvei, która w Balcie Nowojorskim była partnerką Barysznikowa. One podniosły poziom wykonawczy, ale tylko na chwilę. Bo kiedy wyjechały balet się rozleciał. Nikt dziś nie pamięta, że takie osoby były w Warszawie, a teatr nawet nie potrafił odpowiednio zdyskontować obecności artystów światowej rangi.

-Dlaczego tak się dzieje?

-Kierownictwo nie ma do tego serca. Opera powinna być dziełem jednego człowieka, w zasadzie szaleńca, który bezinteresownie pracuje dzień i noc i przyciąga do siebie inne indywidualności, nie zaś handlarza sztuką, który zajmuje się sprzedażą lub kupowaniem zespołów i dekoracji. Ale to, o czym mówimy nikogo specjalnie nie wzrusza. Nawet minister kultury pewnie nie przeczyta tych słów, bo ministra, kultura w Polsce mało obchodzi.

-Ale za to odradza się w stolicy operetka.

-To ponury żart. Dyrektor Kępczyński obiecywał władzom Warszawy, że na gruzach Teatru Roma, który zniszczył, zbuduje polski Broadway. Dziś nawet najwięksi entuzjaści tego pomysłu spuścili z tonu, bo widzą, że niewiele zrobił. Natomiast powołanie Mazowieckiego Teatru "Operetka", który ma zaledwie dyrektora i sekretarkę jest czystym nieporozumieniem i być może tylko uspokaja nieczyste sumienia włodarzy kulturą Warszawy. Prawdziwy teatr muzyczny musi liczyć przynajmniej 500 stałych pracowników, aby mógł grać codziennie zmienny repertuar i dawać przynajmniej cztery premiery rocznie.

- Ale Mazowiecki Teatr "Operetka" ufundował nawet nagrodę - statuetkę Kiepury, co powinno być bliskie Pańskiemu sercu.

- Jest to zabawna nagroda, ale nie wiem czy komukolwiek potrzebna. Zamiast niej najpierw należy zorganizować przyzwoity, profesjonalny teatr. A Kiepura nie ma z tym nic wspólnego.

- Wyniki sondażu przeprowadzonego na zlecenie "Operetki" na temat popularności artystów śpiewających były chyba dosyć optymistyczne. Na pierwszy miejscu Doda, ale już na trzecim Kiepura.

-Sądę, że nie powinno się urządzać takich sondaży. Zestawienie Kiepury z Dodą jest co najmniej nie na miejscu. Światowej sławy artysta i osoba, której kiedyś nie wpuszczano do przyzwoitego domu. Czy to ma jakiś sens?

-A czy ma jakiś sens szalone powodzenie programów typu "Taniec z gwiazdami" w zestawieniu z dogorywaniem tańca klasycznego w zespole Teatru Wielkiego?

-Taniec z gwiazdami" to widowisko telewizyjne, rodzaj rozrywki, co bardzo podnieca współczesną, słabo wyrobioną publiczność, ale to nie ma żadnego związku z profesjonalizmem ani z prawdziwym tańcem. Ktoś, kto uczył się tańca klasycznego, ma kulturę muzyczną, nie pasowałby do takiego spektaklu, bo to zupełnie inny świat.

- Pańskie spojrzenie na otaczający nas krajobraz kulturalny jest dosyć bezwzględne.

- Krytyczny byłem zawsze, ale może zmienił się trochę mój punkt widzenia i hierarchia ważności. Po 6 - miesięcznym okresie choroby, po 3 miesiącach, gdy byłem sparaliżowany i przykuty do łóżka, powoli dochodzę do siebie. Nauczyłem się cierpliwości i pokory, widzę, że postępy przychodzą bardzo wolno, ale systematycznie. Mam nadzieję, że za kilka miesięcy będę już w pełni sprawny fizycznie. Teraz już wróciłem na estradę koncertową, do radia i do telewizji. Prawa ręka ciągle jeszcze nie jest sprawna, nie piszę nią, ale to przychodzi na końcu, po długim okresie ćwiczeń i rehabilitacji. A więc jest nieźle. Piszę na raz trzy książki, właściwie ja dyktuję, a ktoś zapisuje. Kiedy zachorowałem przestraszyłem się, że nie dokończę książki o Teatrze Roma, o tym, co się z nim stało.

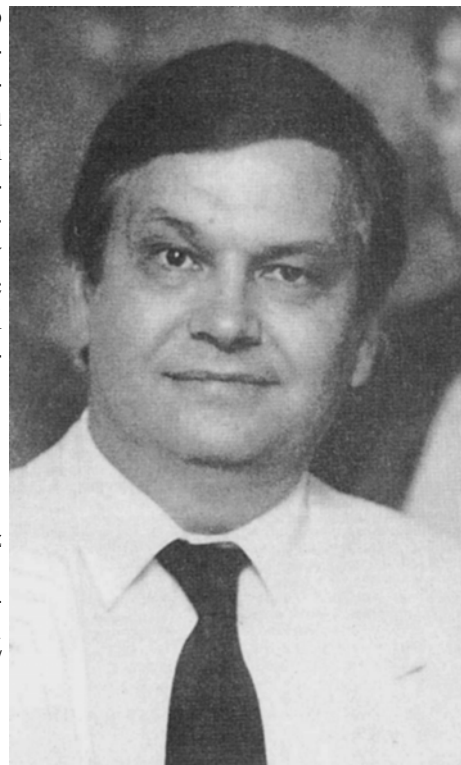
-Czy myślał Pan, że odejdzie z tego świata?

- Ani przez sekundę o tym nie myślałem, choć obok mnie w szpitalu leżeli inni, też sparaliżowani i wielu przy mnie umierało. Widziałem to, ale sam przed sobą udawałem, że tego nie widzę. Nie zdawałem sobie sprawy, że mój udar mózgu jest bardzo rozległy i ciężki. Przeżycia szpitalne w czasie choroby i myśli o nadziei na wyzdrowienie będą treścią drugiej książki. Zobaczyłem niewyobrażalne cierpienia ludzi, niekiedy bardzo młodych, ich oczekiwanie na dobre słowo, oczekiwanie na choćby niewielki promyk nadziei, na powrót do domu, do rodziny, do pracy. Świat z perspektywy łóżka szpitalnego, czy wózka inwalidzkiego bardzo się różni od świata ludzi zdrowych. Zabiegi, zastrzyki, obchody lekarzy, zmieniły moje myślenie. Pewnego dnia w czasie obchodu przyszedł lekarz i złożył mi gratulacje. - Pan miał wielki sukces. Zdziwiłem się. Może jakiś program w telewizji powtórzyli - myślałem. A lekarz mówi - dziś była kupa. -Miałem w życiu większe sukcesy - odparłem. -O nie- zaprzeczył lekarz. - Kupa musi być, wtedy kiedy ma być. Pomyślałem, że ani Nowy Jork, ani Paryż, ani Chiński Mur nie są tak ważne, jak ta kupa. Teraz więc spoglądam na to wszystko z nieco innej perspektywy, patrzę inaczej na życie i na sprawy ludzkie. Ale nadal zachowałem poczucie humoru i ciekawość życia.

-Życzę więc dużo zdrowia i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Bronisław Turniłowicz

MISTRZOWIE ODCHODZĄ / z Bogusławem Kaczyńskim rozmawiał Bronisław Turniłowicz // *Tygodnik "PRZEGLĄD"* 2007-09-30.
<http://www.boguslaw-kaczynski.pl//>

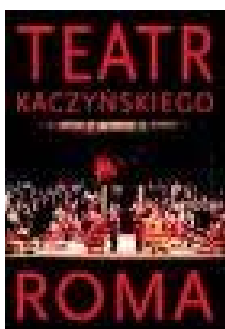


Symfonia w dolinie słońca / Bogusław Kaczyński

Szkice ukazujące sukces polskiej muzyki w historycznym mieście Konstanz, nad wodami Jeziora Bodeńskiego. Spotkanie z Lutosławskim, Kordem, Stuligroszem, Kulką. Bogato ilustrowany album wydany tylko w Niemczech.

Krynicki Benefis / Bogusław Kaczyński

Pięknie wydany, inkrustowany wypowiedziami wybitnych osobistości (Andrycz, Miodek, Rawik, Rudziński, Wachowicz, Kunciewicz, Kałużyński, Duda Gracz, Hanuszkiewicz, Waldorff, Osiecka) i bogato ilustrowany album jubileuszowy, dedykowany świętej Cecylii - patronce muzyki i artystów "z podziękowaniem za pierwszych pięćdziesiąt lat życia w sztuce i dla sztuki". Wydawnictwo dla miłośników pięknej książki.



Teatr Kaczyńskiego - Roma

Bogato ilustrowany album ukazujący świetność Teatru Muzycznego *Roma* w czasie czteroletniej dyrekcji Bogusława Kaczyńskiego (1994-1998). 600 barwnych fotografii ukazujących światowy rozmach tej sceny i plejadę gwiazd. Całość poprzedza dramatyczny i porównujący tekst ukazujący kulisy zniszczenia *Romy* przez hordę Hunów z warszawskiego Ratusza.



"Znaj proporcjum mocium panie" (fragmenty wywiadu)

[...]Jak odnaleźć w sobie siłę, która pozwala przewycięzać to, co wydaje się nie do przewyciężenia?

To punkt wyjścia w tym moim nieszczęściu. Jestem chorobliwym optymistą. Nawet gdy leżałem w szpitalu, nawet gdy widziałem, jak ludzie umierali, to myśl o śmierci czy kalectwie ani razu nie zagościła w mojej głowie.

Optymizm godny pozazdroszczenia...

Pani Małgosiu, brzmi to jak żart, ale kiedy pogotowie przywiozło mnie do szpitala i lekarz dyżurny pytał: imię i nazwisko, miejsce zamieszkania, zawód wykonywany, to mu przerwałem i powiedziałem: „Panie doktorze, ja dzisiaj muszę jechać do Olsztyna, mam koncert z Małgorzatą Walewską. Ludzie na mnie czekają, ponad tysiąc osób, bilety wysprzedane”. Popatrzył na mnie i powiedział: „Dzisiaj to pan na pewno nigdzie nie pojedzie”.

I wtedy się Pan poddał...

Zrozumiałem, że to nie przelewki. Mnie się wydawało, że ten paraliż nogi i ręki minie za sekundę. Niestety, to nie była zabawa. To był udar. Udało mi się ocaleć i ani na chwilę nie traciłem nadziei na życie i na to, że wyzdrowieję. Wie pani, już miałem koncert, w poprzednią niedzielę, w dużym kościele, też z Małgorzatą Walewską. Wyszedłem bez laski, bez podpierania i stanąłem przed publicznością o własnych siłach. To jest zwycięstwo.



To jest zwycięstwo.

Na wpół sparaliżowany, nie mogąc się ruszyć, nie mogąc załawić swoich potrzeb fizjologicznych, nie muszę pani mówić, jak się czułem. Korzystanie z basenu granoczyło z niemożliwością. Ja wszystkich przepraszałem i przemówienia wygłaszałem, ale po kilku dniach zorientowałem się, że nie ma za co przepraszać, bo taki jest ludzki los.

Coś o tym wiem, bo sama przez wiele miesięcy leżałam w gipsie do pasa... Pamiętam, jak kiedyś odwiedziła mnie ulubiona ciotka i na mój widok szepnęła: „Biedna ta Małgosia”. Zareagowałam: „Dlaczego biedna, przecież ja jestem tylko w gipsie”.

Tak trzeba za wszelką cenę nie rozczulać się nad sobą. Lekarz w szpitalu powiedział mi: „Panie Bogusławie, niech pan nie zadaje sobie pytań i nie rozmyśla, dlaczego właśnie ja, dlaczego nie tamten?”.

Zwłaszcza że często nie wiadomo dlaczego...

Przypomina mi się stwierdzenie Platona: „Nie obrażaj się na bieg zdarzeń, one i tak tego nie rozumieją”. Trzeba wyzwolić w sobie, po pierwsze chęć życia, a po drugie walczyć o to, żeby wyjść z choroby. Nawet jeśli lekarze, którzy stoją obok, spoglądają ukradkowo na siebie i sami nie bardzo wierzą, że tym razem się uda. A ja im mówię: „Będę chodził i będę władał ręką”.

Wreszcie Pan wstał...

To był moment, którego nigdy nie zapomnę. Leżąc w łóżku, marzyłem o tym, żeby chociaż na jedną minutę stanąć. I kiedy nadeszła ta chwila, postawiono mnie w takim specjalnym urządzeniu, przypinano pasami pół godziny i wreszcie podniesiono do góry. Na jedną minutę. Byłem najszczęśliwszy na świecie. Chociaż moje ciało nie wiedziało, gdzie jest góra, a gdzie dół. Wtedy spojrzałem na innych chorych, którzy siedzieli na wózkach i patrzyli na mnie z tą dobrą, pozytywną, ale jednak zazdrością, myśląc sobie: „Boże Świąty, kiedy ja też stanę na tę jedną minutę”.

Charakter hartujemy przez całe życie, ale proces ten nabiera przyspieszenia, gdy niespodziewanie dostajemy cios od losu...

W moim rodzinnym domu panowała przekazywana z pokolenia na pokolenie zasada, że opowiadanie o dolegliwościach to swego rodzaju tabu. Kiedy chorowali rodzice, dziadkowie, siostra to nie mówili na ten temat ani słowa. To u nas było dziedziczne.

Ale taka postawa bardzo ogranicza emocjonalne relacje?

To nie jest dobre. Mam do tego krytyczny stosunek. Lepiej znać prawdę, która jest okrutna, niedobra, bo to właśnie z nią trzeba się uporać.

Nawet jeśli choroba dopada gwiazdę, o której życiu wszyscy chcieliby wiedzieć wszystko...

Postanowiłem z tym skończyć i mówić prawdę. Los mnie ciężko doświadczył i nie ma powodu, żeby nie pokazać tego ludziom. Bowiem w wielu domach zdarzają się podobne nieszczęścia, z którymi trzeba się uporać.

Trzeba opowiedzieć o nich światu?

Chodziłem do chorych – i do tych na sali gimnastycznej, i do tych leżących w salach – i mówiłem: „Nie martwcie się, będziecie chodzić, tylko musicie dużo pracować, dużo ćwiczyć i jeszcze musicie w to wierzyć”.

Odzew na to, co Pana spotkało, był olbrzymi...

Dostałem z dziesięć tysięcy maili, listów. To są całe skrzynie, pisane na adres szpitala w Warszawie i te listy dochodziły do mnie. Już nie mówię o liczbie słoń mi podarowanych, świętych obrazków. Obcy ludzie zamawiali msze za mnie. Widocznie przez całe życie zapracowałem na to, że zamawiają msze.

Nie zapomnieli o emocjach i przeżyciach, jakich im Pan dostarczał, opowiadając o świecie muzyki. Ja sama nigdy bym nie przypuszczała, że na Pana monodramie o Janie Kiepurze wzruszę się, nie ma co ukrywać... do lez.

Dziękuję bardzo. Ludzie zachowali się pięknie wobec mnie. Mówiłem sobie: „Muszę wrócić do ludzi, oni na mnie czekają”.

Mimo to miałam wątpliwości, czy uda się Panu pojechać w sierpniu na festiwal Kiepur w Krynicy.

Były dwie rzeczy bardzo trudne. Wejście na scenę po raz pierwszy po miesiącach z laską. No ale jakoś uporałem się z tym. A druga rzecz, prawie niemożliwa do realizacji, to kiedy patrzyłem na widownię, na pierwszy rząd, tam, gdzie zawsze siedziała moja siostra. Zawsze miała to samo miejsce i ja zawsze do niej mówiłem i to był ten pierwszy koncert bez niej. Chociaż ja myśli o śmierci siostry nie dopuszczam do głowy. Odłożyłem to na plan dalszy, ale kiedyś będę musiał się z tym zmierzyć. Na razie nie. [...]

Co jest takiego w muzyce, że warto jej poświęcić całe życie?

Byłem oczarowany muzyką od dziecka. Nie pamiętam, kiedy posadzono mnie przy fortepianie – ojciec marzył o karierze pianistycznej – ale wybuchła rewolucja i nie mógł już ich spełnić. Wobec tego postanowił, że jak będzie miał dzieci, to będzie je uczył muzyki. Najpierw mnie, a potem siostrę. Ta ma słuch absolutny, podobnie jak ja świetnie grała, ale w pewnym momencie zbuntowała się i powiedziała: „Nie będę grała”. I pokazała, co było zuchwałe niezwykle, na taką starszą panią, która miotła zamiatała ulicę, i powiedziała: „Wolę zamiatać ulicę, niż grać na fortepianie”. Ojciec skapitulował, czego siostra nie mogła mu potem do końca życia darować. Mówi: „Gdyby wtedy mnie zmusił, to bym dzisiaj potrafiła zagrać Chopina”.

Zauważył Pan, że cały czas mówi o siostrze w czasie teraźniejszym....

Nie może być inaczej. Wracając do grania, to ja ćwiczyłem i ćwiczyłem. A potem rozkochałem się w tym graniu. Miałem kilka popisowych utworów, wykonywałem je pięknie i rodzina była zachwycona. Kiedy byłem naprawdę małym chłopcem, byłem najślawniejszym w powiecie wirtuozem. Wożono mnie od miasteczka do miasteczka, do radiowęzła, ja grałem i grałem. Długo byłem niski i wszyscy myśleli, że takie małe dziecko prowadzone przez ojca na estradę najpierw zacznie płakać, potem będzie chciało siusiu. A tu wchodzi mały chłopczyk, siada, patrzy na ojca i gra.

Mama, jak na to wszystko patrzyła?

Mama była zachwycona, że takie grzeczne dziecko jako przykład stawiają. Nauczyciele mówili, że Boguś to takie idealne dziecko, a Hania to urwis, z którym nie można sobie poradzić.

Do jakiego momentu rodzice byli świadkami Pana sukcesów?

Rodzice późno umarli. Długo śledzili moje poczynania i sekundowali mi. Ojciec był surowym niezwykle krytykiem. Niekiedy miałem tremę jako pianista i nie ukrywałem przed nim, że boję się występu. Ojciec mnie pocieszał: „Synku, nie bój się, śpij spokojnie, przecież ty nigdy na scenie się nie pomyliłeś. I tym razem będzie dobrze”. Nawet teraz, kiedy ojciec nie żyje, mam w głowie cały czas te słowa i je sobie powtarzam. Mam z nim stałą emocjonalną, duchową więź i często się odwołuję do niej.

Ta więź to coś najwspanialszego, co mogą nam dać i pozostawić po sobie rodzice.

Ja dzięki rodzicom, siostrze miałem prawdziwy dom, z poszanowaniem wszystkich tradycji rodzinnych. To było coś wyjątkowego. [...]

Gdy jesteśmy młodzi, wydaje się nam, że możemy być królami życia. Czy Pan też miał takie zawroty głowy?

Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że jestem popularny, oklaskiwany. Tylko że mnie ratowało przed tą pustką, o jakiej pani mówi i którą widzę u wielu moich kolegów, to, że ciężko pracowałem na tę moją karierę. Ta muzyka, która jest moim szczęściem wielkim, to jest wieczne studiowanie, wieczne siedzenie w partyturach. Słuchanie. Te wszystkie płyty, które stoją u mnie na półkach, to to jest moje śniadanie, moje obiady, kolacja. W Ameryce, w Europie zamiast obiadu kupiłem sobie płytę, zamiast jechać tramwajem do Opery Wiedeńskiej, szedłem piechotą 40 minut i tyle samo z powrotem. I znowu kupiłem sobie płytę. To były wyrzeczenia...

Słucham często Marii Callas, wielkiej diwy, której niedobra miłość zniszczyła życie.

Ale musi ją pani zrozumieć. Znałem osobiście Marię Callas, ona chciała być także kobietą i to ją zgubiło. Wybrała Onasisa, którego kochała aż do śmierci. Nie mogła przeboleć tego, że ją opuścił, porzucił. Następna Callas pojawi się za 300-400 lat. Taki głos pojawia się raz na kilka stuleci, albo taki Pavarotti...

Jak to było z Janem Kiepurą, czy naprawdę był gwiazdą światowego formatu?

Wielką gwiazdą, bo był pomysłodawcą swojej bajecznej kariery. Był pierwszym śpiewakiem operowym, który będąc u szczytu sławy, postanowił wyjść na place i śpiewać ludziom popularne piosenki. Występować w filmach. Komponowano dla niego szalenie modne piosenki. Po wyjściu z gmachu opery ludzie brali go na ręcę, stawiali na samochód i on im śpiewał popularne piosenki. Stał się tym samym idolem muzyki rozrywkowej.

Robił to, co potem Pavarotti, śpiewając z Bono...

Wzorowali się na Kiepurze, Pavarotti to podkreślał, mówił mi o tym kilkakrotnie. Zapytałem także kiedyś Plácido Domingo, co byłoby, gdyby Kiepura był teraz młody? A on powiedział: „To świetne pytanie, albo byłoby nas czterech, albo jeden z nas musiałby ustąpić miejsca Kiepurze”.

Kiedy Kiepura umierał, był gwiazdą czy już legendą?

Legendą.

Pamiętam, jak kiedyś w moim programie powiedział Pan, że co roku bierze kalendarz i wykreśla z niego nie tych, którzy odeszli, tylko tych, którzy się nie sprawdzili.

Tak.

Nadal są tacy, którzy się nie sprawdzają?

Są. Cały czas są. Po tym okresie choroby mam szczególne przemyślenia i remanenty do zrobienia i kalendarz zostanie przeczyszczony dokumentnie.

Bo znowu można zarobić...

Zadzwoń do mnie pół roku później i się dziwić, że choruję, to przyzna pani... Ale nie mam ochoty już tym się martwić.

Pana historia to swego rodzaju memento dla tych, którzy się nieustannie spieszą.

Zatrzymać się, pomyśleć chwilę, zastanowić się, po co to wszystko.

No właśnie, po co to?

Trzeba zrewidować, co się w życiu robi. Kariera też oczywiście, ale jeszcze jest życie oprócz tego. Są jesień i złote liście. Są wiosna, jabłonie kwitną i bzy. Ja wybierałem się całe życie zobaczyć sady kwitnące koło Nałęczowa i nie miałem kiedy tam pojechać. Jest Łowicz, jest Nieborów.

I wiele innych miejsc...

Nie miałem tam kiedy pojechać, bo były rzeczy ważniejsze. Były imieniny, urodziny, rocznice ślubu. Nie zadzwoniłem nawet, bo nie wiedziałem, że są. Nie ze złej woli. Więc trzeba na tym zakręcie życia, i to solidnym zakręcie, z którego na szczęście się nie wypadło, a mogło się wypaść, przyhamować i drugi zakręt brać już łagodnie.

Daje Pan na to słowo?

„Znaj proporcjum, mocium panie” – słowa znakomite. Na życie prywatne trzeba poświęcić tyle czasu, ile ono wymaga. Zawód nie jest najważniejszy.

Chociaż nasza wspólna znajoma Nina Andrycz twierdzi, że zawód to jest jedyna kochanka, która nigdy nie zdradzi.

Tak, przekonywała mnie: „Nie zdradzaj sztuki, bo sztuka jest zazdrosna. Wszystko jedno z kim zdradzisz, z przyjacielem, z dzieckiem, z żoną, z inną pasją, ona się zemści w najmniej oczekiwanym miejscu”. Ja słuchałem tych słów, ale nie bardzo rozumiałem. Bo praca była dla mnie wszystkim. Byłem pracoholikiem i byłem z tego dumny.

Wcale Pana to nie męczyło...

Nie, powiedzenie, które sobie często powtarzam, jest takie: „Jeżeli będziesz w życiu wykonywał pracę, którą kochasz, nie będziesz nigdy pracował”. Ani jeden raz więc nie narzekałem, że jestem tą pracą wykonany. Uważałem, że po to żyję, aby pracować. I niech ktoś nie myśli, że liczyłem pieniądze w wolnych chwilach. Nie miałem kiedy ich wydawać. Dlatego często na sylwestrach powtarzam życzenia, które składają sobie Hiszpanie: zdrowia, szczęścia i pieniędzy oraz czasu na ich wydawanie. Ja nie miałem czasu na ich wydawanie. Nie cieszyły mnie, to były cyfry na papierze. Ślepa uliczka.

Jeden z filozofów powiedział, że nasze życie byłoby nie do zniesienia, gdybyśmy znali jego finał i czas, w którym ten nastąpi? Czy gdyby wiedział Pan, że któregoś dnia stanie się to, co się stało, żyłby Pan inaczej?

Zatrzymałbym się. W ostatnim wywiadzie, jakiego udzieliłem przed chorobą, powiedziałem, że czuję się znużony tempem życia, pracą zawodową i że muszę zastopować. Nie wiedziałem, że to są słowa prorocze, ale teraz już nie będzie tego, co było.

Powiedział Pan, że nie boi się śmierci, ale czy tak może głośno powiedzieć tylko ktoś, kto jest odważny?

Nie boję się śmierci, wie pani dlaczego? Bo tą śmiercią nie sprawię już bólu swoim bliskim. Moi rodzice, siostra, oni by tego kiedyś nie przeżyli. Kiedy latałem samolotami bez opamiętania, trzy razy w miesiącu do Nowego Jorku, to zawsze póki oni żyli, robiłem to z wielkim niepokojem. Co będzie, jak spadnie samolot? Oni tego nie przeżyją, ja im nie mogę tego zrobić. A teraz, pani Małgosiu, jak wydobrzeję zupełnie, polecę do Ameryki samolotem, to już mogę spadać.

Bardzo lubi Pan film Ingmara Bergmana „Jesienna sonata”

Boję nad tym, że wielu ludzi, tak zwanych cywilnych, czyli nie mających kontaktu ze sztuką, nie rozumie tego filmu. Ukochana scena, w której Ingrid Bergman rozmawia z Liv Ullmann, czyli scena rozmowy matki z córką, gdy ta mówi: „Nie przyjechałaś, kiedy siostra miałam wypadek i leżała sparaliżowana”, a matka odpowiada zdziwiona: „Jak mogłam przyjechać? Przecież nagrywałam wtedy wszystkie sonaty Beethovena”. Boję się, że tego nie rozumieją żyjący normalnym życiem ludzie. A przecież granie wszystkich sonat Beethovena jest wielką rzeczą tak jak całe życie.

Dlaczego warto żyć?

Powiedział św. Augustyn: „Kto śpiewa, dwa razy się modli”. Ja myślę, że się wymodliłem za to całe życie pełne grzechów ludzkich i że będzie mi to przebaczone. Bo jeśli tak bardzo kocha się muzykę, chce się ją pokazać innemu człowiekowi, żeby jej posłuchał, poznał, żeby piękniej żyło mu się na tym świecie, to zostanie to docenione przez opatrność.

Rozmawiała Małgorzata Domagalik

Daje Pan na to słowo? "Znaj proporcjum mocium panie" /
z Bogusławem Kaczyńskim rozmawia
Małgorzata Domagalik // *Pani* 2007, nr 11, s. 82-87.
<http://www.boguslaw-kaczynski.pl>



Ada Sari

Przyszła na świat 29 czerwca 1886 r. w Wadowicach nieopodal Krakowa. Nazwisko jej brzmiało Jadwiga Szayer, zaś pseudonim artystyczny „Ada Sari” przyjęła rozpoczynając we Włoszech karierę śpiewaczą. Droga do tej kariery nie była łatwa. Poprzedziły ją rozpoczęte w bardzo młodym wieku trzyletnie studia wokalne w Wiedniu, po których młodziutka śpiewaczka mogła już wystąpić w półprywatnym przedstawieniu operetki Edmunda Audran „Lalka-automat”, był to pierwszy w jej życiu artystyczny sukces. Ojciec, który odnosił się poprzednio dość sceptycznie do artystycznych aspiracji swojej córki, uwierzył wówczas w jej talent oraz powołanie, i zdecydował się zabrać ją do Mediolanu na dalsze studia pod kierunkiem profesora Antonia Rupnicka. Sławny maestro początkowo wyrażał się dość nieprzychylnie o wokalnych możliwościach adeptki, przyjął ją jednak na naukę i po dwóch latach, w roku 1909, doprowadził do debiutu scenicznego w roli Małgorzaty w „Fauście” na scenie rzymskiego Teatro Nazionale. Potem przyszły występy w neapolitańskim Teatro San Carlo i na innych scenach włoskich, liczne zagraniczne podróże i wreszcie – w roku 1923 – engagement do mediolańskiej La Scali i występy na tej pierwszej podówczas scenie Europy w „Czarodziejskim flecie” pod dyрекcją Artura Toscaniniego. Śpiewaczka dzięki ogromnej, nadzwyczaj sumiennej i wytężonej pracy nad sobą doszła do tego, że krytyka zaczęła ją porównywać z najwspanialszymi gwiazdami sceny operowej, jak Gemma Bellincioni, Luisa Tetrazzini, Selma Kurz, a nawet nieśmiertelna Adelina Patti. Oto co pisał o jej występie w „Cyruliku sewilskim” recenzent włoskiego dziennika „Popolo d'Italia”: *„Panna Sari była prawdziwą rewelacją. Przypomina ona mistrzynię bel canta z pierwszej połowy XIX wieku. Dźwięk podany nieskazitelnie, nawet w bardzo szybkich trelach, czyste, wręcz promienne staccato – oto co stawia tę śpiewaczkę na czele najświetniejszych wirtuozów tej sztuki”*. Odnosiła Ada Sari triumfy w całej niemal Europie, a także za oceanem. (...) W Warszawie wystąpiła po raz pierwszy 28 kwietnia 1914 r. w partii Gildy w operze Verdiego „Rigoletto” i była częstym gościem na scenie Teatru Wielkiego do 1939 r.(...) We wczesnym okresie swojej kariery śpiewała Ada Sari głównie repertuar liryczny, sięgając jednakże i po niektóre partie dramatyczne, włącznie z Wagnerowską Elzą i Elżbietą. Jednak w roku 1912, po występie w Brescii w operze Gounoda „Romeo i Julia”, stało się jasne dla wszystkich i dla samej artystki, że właściwym jej powołaniem jest koloratura. I istotnie – dzięki niepospolitemu talentowi, wspartemu ogromną pracą, stała się Ada Sari wkrótce jedną z najświetniejszych wykonawczyń wirtuozowskiej koloraturowej techniki. (...) Ada Sari posiadała także swój określony repertuar pieśniarski, którego była znakomitą wykonawczynią. Oto co pisał na ten temat recenzent lwowskiej gazety w 1932 roku: *„W istocie jest Ada Sari nie tylko wyłącznie znakomitą śpiewaczką koloraturową, ale także bardzo poważną interpretatorką pieśni. Przepaja uczuciem każde słowo, bo głos jej jest sprężyną ze złota, która ma giętkość stali. A śpiewa ten słowik polski w różnych językach: polskim, francuskim, włoskim, czeskim, niemieckim i rosyjskim. I w każdym języku odznacza się technika śpiewacza naszej Ady, jej barwa głosu, dykcja, jak też interpretacja, bezwzględna doskonałością”*. (...) Późniejszy okres swego życia wypełniła Ada Sari niezwykle intensywnie pracą pedagogiczną, kształcąc całą plejadę utalentowanych śpiewaczek, z których wiele odnosiło potem poważne sukcesy na scenach krajowych i zagranicznych. Lista nagrań Ady Sari, zrealizowanych głównie przez firmę „Polydor”, a później (po r. 1925) także „His Master's Voice”, jest dość obszerna, jakkolwiek niektóre najświetniejsze jej kreacje – np. brawurowo śpiewana aria z „Lindy di Chamonix” z kapitalnymi wirtuozowskimi kadencjami – nie zostały, o ile wiadomo, nigdy utrwalone. Następujące nagrania płytowe dokumentują jej mistrzowską sztukę - Arie z oper: „Traviata” (I akt), „Rigoletto: (dwukrotnie – w języku włoskim i niemieckim), „Lakmé” (II akt), „Poławiaczce pereł” (II akt), „Łucja z Lammermooru” (z I i III aktu), „Mignon” (*Connais-tu te pays*), „Tosca”, „Cyrulik sewilski”, „Halka” (II akt), „Sprzedana narzeczoną” (III akt), Adam – „Wariacje na temat Mozarta” (dwukrotnie), Johann Strauss – „Odłósy wiosny (dwukrotnie) i „Nad pięknym modrym Dunajem” oraz pieśni: Friemanna („Cudne oczy”), Moniuszki, Farleya, Rachmaninowa, Rimskiego-Korsakowa, („Słowik i róża”), Karłowicza, Niewiadomskiego. Była jedną z ostatnich już przedstawicielek wspaniałej epoki bel canta – epoki, która w dziedzinie twórczości operowej zamknęła się około połowy ubiegłego stulecia, lecz w dziedzinie odtwórczości wokalne trwała jeszcze niemal do lat 30-tych naszego wieku. Zmarła 12 lipca 1968 r. podczas pobytu na kuracji w Ciechoćniku.

Według: „Mistrzowie sceny operowej” Józefa Kańskiego. PWM Edition 1998

Z listów do Stefana Heine

Warszawa 20 lipiec 1944

Szanowny Panie Stefanie!



Nie znam Pana – więc przepraszam za śmiałość w użyciu nagłówka może za intymnego w obecnych okolicznościach, ale muszę się Panu przyznać, że jest mi Pan tak dziwnie bliskim i duchowo jakby spokrewnionym – dlatego i stąd ta moja śmiałość. Po liście przeczytanym (z dnia 2 V) miałam odruch aby natychmiast Panu odpisać i podziękować za tyle szczerości i uwielbienia dla mojego głosu i kunsztu wokalnego – ale zapowiedziana przesyłka nowego zbioru poezji wstrzymała mnie; sądziłam że rzeczywiście w końcu maja będę ją miała i zamiar odpisania Panu na list poprzedni wtenczas urzeczywistnię. Niestety książeczkę otrzymałam dopiero wczoraj – więc śpieszę aby z Panem pogwarzyć – w pierwszej linii podziękować najserdeczniej i bardzo gorąco za cudny wiersz poświęcony mojej osobie. Doprawdy że do łez mnie Pan wzruszył – czytałam i czytałam wspominając te dobre i cudne czasy przedwojenne – gdzie świat cały stał nam otworem i niczem się nie było skrepowanym. Dzisiaj nie może Pan ani p. Colonna Walewski usłyszeć nawet mojej płyty (których mam około 40), aby chociaż troszeczkę przypomniały Panu mój głos. Wszystko jednak będzie jeszcze i to może wkrótce osiągalne – wtenczas proszę obydwóch Panów do mnie na herbatkę, po której puścimy sobie i Luizę i Traviatę, Cyrulika, Rigoletto i Lindę i wiele jeszcze wcale dobrych moich płyt. Czytając list Pana i ten zwrot co do mojego głosu i kunsztu wokalnego – muszę przyznać Panu rację - odgadł Pan całkowicie i konkluzja badań wypadła najprawdziwiej. Dużo zawdzięczam środowisku, w którym roslam – tj. otoczeniu przedobrych - przeszlachetnych charakterów moich rodziców i braci, żyłam w pięknych tradycjach; życie wewnętrzne ukształtowało się bardzo korzystnie - spokój miałam stale aby móc odda się tylko mojej ukochanej pracy, wniknąć w głąb duszy – skupić się i przelać wszystko w uczucie dla tej mojej wielkiej Sztuki. Pracowałam szalenie, nic nie egzystowało dla mnie oprócz pracy – miałam jedynie przed sobą cel wielki, a do niego dążyłam wprost z jakimś zaparciem – zapomnieniem o wszystkim, niebywałą pobożnością i uszlachetnieniem każdego czynu swojego. Nie zatrzymywałam się nigdy – dążyłam do coraz wyższej kultury i wysubtelnienia w pracy swojej; aby się zbliżyć do wyznaczonego szczytu i osiągnąć pewne wyżyny, które tylko za pomocą wielkiej pracy są możliwe dla ludzkich istot, trzeba było niejedno poświęcić i z niejednego zrezygnować, ale za to była zawsze rekompensata! Pyta Pan o mój głos – o zdrowie? – to pierwsze jest zawsze nietknięte pomimo wielkiej pracy jaką mam z uczennicami i uczniami, głos mi odpowiada stale, tylko czuję się bardzo zmęczoną i żadnej ochoty (w związku ze zmęczeniem) nie mam obecnie do śpiewu. Pracowałam ostatnio kolosalnie bo miałam popis uczennic i uczniów. Zresztą sam Pan osądzi czytając program ile to było pracy gdy chodzi o wyuczenie i pokazanie niemal prawie każdej nutki w pieśniach i ariach. Pierwsza część programu to sami początkujący nigdy nie śpiewały te panie przed nikim – więc trema naturalna, 50% nie pozwoliła im z tego urzeczywistnić przed publiką, natomiast w drugiej części to moi „artyści” i „artystki” które już się produkują – więc ta część wypadła bardzo dobrze. Zakończyłam rok szkolny i teraz odpoczywam – na samą myśl że od 1 IX mam zacząć da capo „tę orkę” to już dzisiaj mi się słabo „robi”. Kocham pracę pedagogiczną – dużo mi ona satysfakcji dała i daje – mam rezultaty kolosalne – jednak za dużo się męczę – mam [prawie] 16 lekcji dziennie, (lekcja trwa ½ godziny). Jednak każdej trzeba nutkę za nutką pokazać – zdemonstrować stąd też wieczorem mam chrypkę i jestem wykończona. Tak pragnę końca wojny aby wyruszyć w świat - specjalnie czekam na Italię – bo tam to jednak moja druga Ojczyzna – 25 lat stałego pobytu zrobiło swoje. Pokochałam i mocno się do Italii przywiązałam. Tu mi za ciasno – tam Piękno – Sztuka – Opera – wszystko zawsze stało na wyżynie – z tym się zżyłam i tego tutaj mi brak. Takich ludzi czułych na Piękno i Dobro – jak Pan to u nas niestety bardzo mało. Gdyby tylko było podobnych Panu ¼ ludności w Polsce mielibyśmy stale Operę, Filharmonię i w ogóle Koncerty przepelnione. Cudne są wszystkie Pana wiersze – podziwiałam i zachwycam się każdym; jestem b. Panu wdzięczna za ten zbior – tak precyzyjnie do tego wykończony - będzie to dla mnie przemila pamiątka wojenna. Dla przyjaciela p. Colonna Walewskiego załączam fotografię – bo boję się wysłać na podany adres – może już zmienił. W nadziei że może przecież gdzieś wkrótce spotkamy się, kończę mój długi list polecając się nadal milej pamięci.

**Z prawdziwym szacunkiem
admiracją dla Jego talentu i pozdrowieniami
Ada Sari**

Irena Eichlerówna

Urodziła się 19 kwietnia 1908 r. w Warszawie. Polska aktorka dramatyczna. Porównywano ją do Eleonory Duse. Kształciła się w gimnazjum Janiny Tymińskiej, a następnie w gimnazjum im. Marii Konopnickiej. (...) W 1926 roku rozpoczęła studia w Państwowej Szkole Dramatycznej, gdzie jej nauczycielem był między innymi Aleksander Zelwerowicz. Po egzaminie kończącym studia w 1929 wyjechała z A. Zelwerowiczem do Wilna, gdzie przez dwa lata występowała w Teatrze Na Pohulance. Stworzyła tam kreacje zauważone przez świat teatralny - oceniono je jako współczesne i wyraziste. O jednej z tych kreacji – tytułowej Turandot w sztuce Carla Gozziego - mówiono, że potrafiła połączyć w tej roli kobiecość i okrucieństwo. Po rezygnacji Zelwerowicza z kierowania Teatrem na Pohulance również wyjechała z Wilna i na krótko podjęła angaż w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Następnie również na krótko podjęła współpracę z Teatrami Miejskimi we Lwowie. (...) Jej role na tej scenie cieszyły się uznaniem publiczności i krytyki, a kreacja niemieckiego szpiega Anny Lesser w napisanej specjalnie dla niej przez Jerzego Tepe sensacyjnej sztuce szpiegowskiej *Fraulein Doktor* wywołała aplauz widzów i recenzentów. Znaczącą rolą była postać Kleopatry w sztuce C. K. Norwida w adaptacji Horzycy - dodatkowo było to pierwsze wprowadzenie Norwida na scenę. Te i inne role spowodowały, że uznano ją za aktorkę posiadającą wrodzone umiejętności do odgrywania scenicznych postaci tragicznych. Zwracano uwagę na dojrzałą technikę pozwalającą osiągnąć oryginalność i wyrazistość postaci oszczędnymi środkami wyrazu. Prowadziło to w przypadku wielu ról do nadawania postaciom cech i niuansów szerszych i głębszych niż pierwowzór literacki. Jednocześnie podkreślano posiadanie przez nią jeszcze jednego waloru - głosu o wielkiej skali, którym znakomicie i subtelnie potrafiła operować. Konrad Swinarski, jak podaje A. J. Dąbrowski, wymyślił na temat głosu Eichlerówny anegdotę, według której *śpiewa ona nieustannie, nawet w bufecie, gdy zamawia herbatę, a gdy rozpoczęła się wojna i zawyły syreny, to wszystkim (słuchaczom radiowym) się zdawało, że to Eichlerówna śpiewa jeszcze*. Począwszy od 1934 roku uważana już za gwiazdę Eichlerówna związała się na stałe ze scenami warszawskimi - Teatrem Polskim, a potem Teatrem Narodowym. Gościnnie występowała we Lwowie i w Łodzi. Współpracowała z Leonem Schillerem i Erwinem Axerem. Po wybuchu wojny ewakuowała się z Warszawy, i trafiła do Rumunii, a potem do Francji. Występowała tam dla żołnierzy i uchodźców polskich w przedstawieniach teatru zorganizowanego wspólnie z reżyserem Zbigniewem Ziembińskim. Była żoną bogatego przemysłowca Bohdana Stypińskiego, którego poślubiła w latach 30. XX wieku. Po klęsce Francji w 1940 roku wyjechała do Brazylii. Dostała tam angaż teatralny i radiowy. Pomimo sukcesu w 1945 roku w Teatrze Phoenix w Rio de Janeiro, wkrótce po listownych namowach Arnolda Szyfmana, zdecydowała o powrocie do Polski, co ostatecznie nastąpiło w 1948 roku. Podjęła współpracę w teatrach warszawskimi, łódzkimi i poznańskimi oraz takimi dyrektorami i reżyserami jak Erwin Axer, Wilam Horzycy, Dobiesław Damięcki. Role jej cieszyły się zainteresowaniem publiczności, ale jednocześnie była angażowana bardzo rzadko. W rzeczywistości powojennej krytyka teatralna, często z pozycji socrealistycznych, dostrzegała u niej manieryczność i uduchowiony sposób posługiwania się głosem. Wraz z odwołaniem prymatu socrealizmu, od 1955 roku występowała częściej, tworząc kolejne, według krytyki, wspaniałe kreacje. Ostatni raz wystąpiła na deskach teatralnych w 1986 roku. Oprócz teatru miała w swoim dorobku trzy role filmowe, kilkanaście ról w Teatrze Telewizji oraz współpracę od 1930 roku z Polskim Radiem. Ta współpraca posłużyła Swinarskiemu do stworzenia wyżej przytoczonej anegdoty. Jednym z wyznaczników jej filozofii zawodowej był pogląd, iż *teatr jest grą, poprzez którą pokazuje się prawdę o życiu, a nie życie jako takie, i jest odrębnym rodzajem sztuki, rządzącym się własnymi prawami*. Posiadała odznaczenia i nagrody państwowe, między innymi Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, nagrodę ministra kultury i sztuki I stopnia za wybitne osiągnięcia w dziedzinie aktorstwa. Zmarła 12 września 1990 r. w Warszawie. Jest pochowana na Starych Powązkach w Warszawie.

„Zmora dyrektorów teatru, postrach reżyserów, utrapienie partnerów. Mogę opowiadać o niej nieskończenie. Świetnie pamiętam jej głos, co jest zaprzeczeniem prawa pamięci, w myśl którego głos zapominany jest najszybciej. Był mocny, nośny i przejmujący, jakby wydobywany z głębin trzewi. Nikt nie miał tak głębokich samogłosek, nikt nie miał tak pełnego wydźwięku spółgłosek. Nikt nie miał aż takiej dykcji. Nikt też nie potrafił tak, jak ona zbliżyć mowy polskiej do najbardziej śpiewnych języków świata. Nikt także nie umiał lepiej pokazać, czym nasza mowa sceniczna mogłaby być, gdyby podchodzono do niej z równym pietyzmem. (...) Pokazywała to, co stanowiło nie tylko siłę granych przez nią kobiet, ale i ich słabość. Potrafiła być mocna jak posag z jednej odlany bryły i krucha jak konwalia uginająca się pod brzemieniem rosy. Reszta była magią nie dającą się opisać.”

Irena Eichlerówna / Andrzej Józef Dąbrowski. Dostępny <http://kurierplus.com>

Z listów do Stefana Heine



W-wa 20/8 57 r.

Drogi Panie! Bardzo serdecznie dziękuję Panu za Jego list i przysłany egzemplarz „Szaleństwa”. Niestety, nie wiem, kiedy będę mogła nim się zająć, dlatego obawiam się, że potrwa to długo, zanim go Panu odeślę – może lepiej będzie, jeśli poproszę Pana o niego wówczas, gdy istotnie będę miała spokojny czas. Wątpię, aby dyr Horzyca, który objął teraz Teatr Narodowy, miał ochotę wznowić tę sztukę. Ani On, ani dyr Axer w przeszłości nie chcieli Sudermana, bo to dla nich nie jest literatura. O ile mi wiadomo, obaj decydowałiby się na Ibsena, gdyby znalazł się ktoś, kto potrafiłby uczynić te tematy strawne i do przetrzymania dzisiaj. Ja zawsze pracuję świadomie - nie wskrzeszę żadnej postaci, której nie widzę możliwości i sposobu wskrzeszenia.

Nie sądzę, aby Claudel mógł być grany u nas. O Joannę Honeggera staram się od dwóch lat, na razie bezskutecznie. O Bernanosie porozmawiam z Horzycą - Bernanosa znałam osobiście, byłam z nim w kawiarni, ponieważ żył w Rio de Janeiro. Nawet napiszę tam do znajomych w sprawie tej sztuki, o której Pan mnie powiadomił, bardzo dziękuję. Nic o niej nie wiedziałam. O fotografii pamiętam, ale pragnę przesłać Panu właśnie z „Szaleństwa” – a dopiero teraz otrzymałam ją od kol. Broniszówny. Hartwig obiecał mi zrobić odbitki, gdy wróci z urlopu więc - musi Pan jeszcze poczekać.

*Najserdeczniejsze pozdrowienia dla Drogiego Pana łączę
Irena Eichlerówna*

STEFAN HEINE

Stefan Heine – sufler, tłumacz (dokonywał przekładów prawie wyłącznie dla radia), poeta. Urodził się w Łodzi 18 lutego 1909 roku. Od najmłodszych lat związany był z teatrem (za sprawą rozkochanej w teatrze matki Marianny Ciesielskiej). W roku 1925, w wieku lat szesnastu rozpoczął pracę w Teatrze Popularnym pod dyktando Józefa Pilarskiego. Mimo początkowych ambicji aktorskich do końca życia pracował jako sufler. Mawiał: „Nie musiałem być aktorem, bo nigdy się nie nudziłem ze swoją osobowością”. Nie zmienił specjalności pomimo namów samego Juliusza Osterwy. Pracował z plejadą polskich aktorów m. in. Ireną Solką i Ireną Eichlerówną, o której pisał: „Uległem czarowi wielkiego artyzmu Eichlerówny już podczas jej pierwszego występu w Łodzi i trwam w tym oczarowaniu do dziś!”

Po II wojnie światowej związał się z Teatrem Powszechnym w Łodzi. W programie III Polskiego Radia prowadził także cykl gawęd teatralnych.

Jego drugą pasją obok teatru była muzyka. Z korespondencji wynika, że rozkochany w śpiewie Ady Sari (pisał wiersze, których treść stanowiły reminiscencje słuchanej muzyki, a zwłaszcza śpiewu) stał się jej powiernikiem, kimś jej bliskim. Ich znajomość, która przerodziła się później w przyjaźń, datowała się jeśli nie przed wojny, to prawdopodobnie z czasów lat okupacji. „Głoszę wszystkim na około, że mam bardzo kochanego i wiernego przyjaciela, a zarazem pierwszorzędnego znawcę naszej sztuki śpiewaczej – krytyka wspaniałego...” – tak pisała do Stefana Heinego Ada Sari w lutym 1956 roku.

Stefan Heine zmarł 24 października 1972 roku.

Na podstawie:
Passe-partout w ciepłym kolorze / Jerzy Urbankiewicz. - Wydawnictwo Łódzkie, 1984
E. Domagalska



Niedomówienie

Są dni zwiędłe i mgliste w pustce listopada
Spadające pośpiesznie w czarną czeluść nocy...
Odjechało już słońce w złocistej karocy
A ziemię cicho do snu szary zmierzch układa...

Są chwile, kiedy serce jest tęsknym cmentarzem
Pełnym zwalisk snów dawnych i wspomnień pamiętek:
Nie wie, kiedy straciło radości swej wątek
I drzemie na zapadłym grobowcu swych marzeń!

...Raz w taki dzień śmiertelny i lepki od żalu
Szła w niebie Matka Boska z niebieskim swym dworem...
Jakiś anioł się potknął o serce me chore,

Bo na chwilę się z smutku wysnuło woalów
I pełną garścią słońca sypnęło skry złote...
Ale anioł odpłynął bezszelestnym lotem...



ANNA KOLASA – jest absolwentką łódzkiej Akademii Muzycznej, obecnie dziennikarzem - komentatorem w Redakcji Muzycznej Radia Łódź. Od jedenastu lat prowadzi cykliczne programy zatytułowane „Akademia Muzyczna i jej goście” w studiu muzycznym Radia Łódź im. Henryka Debicha. Ma w swoim dorobku dziennikarskim szereg cyklicznych audycji poświęconych muzyce poważnej, które ukazują się również w programach ogólnopolskich Polskiego Radia. Stale współpracuje z Filharmonią Łódzką, Teatrem Wielkim i Teatrem Muzycznym, Akademią Muzyczną a także innymi placówkami kultury na terenie Łodzi i województwa. Jako redaktor i dziennikarz współpracuje z wydawnictwami płytowymi.

Z WIERSZY STEFANA HEINE

Jestem jak automat gdzieś w dworcowej hali,
Co wchłonawszy pieniążek w żelazne swe płuca,
Wydawał czekoladki w kształcie galek malin,
A dziś stoi z napisem: „Zepsuty – nie wrzucać!”
Czasem kogoś o płochę nieco wyobraźni
Zardzewiały mechanizm pokusi do psoty:
Rzuca bilon fałszywy nieszczerzej przyjaźni
Lub dawno wycofane dowcipu banknoty.



Tosca i dziecko

Dlaczegoś ty umarła? Żał mi cię ogromnie!
A przecież gdy urosnę duży jak Twój Mario,
Także sławiłbym ciebie jakąś piękną arią,
Gdybyś zamiast umierać przyszła wtedy do mnie!

I tak mię dzień dziś cały różne myśli szarpia :
Czemuż ci tyle męki Bóg pozwolił przeżyć?
I jakoś w dobroć ludzi trudno mi uwierzyć-
Wszyscy są tacy, jak ten podły Skarpio!

Pomodłę się za siebie w wieczornym pacierzu
I także na mszy jeszcze w najbliższą niedzielę –
A skarbonką swą dziadków kościelnych obdzielę,
Byle się ból twój straszny choć w niebie uśmierzył!

„Głos twój jak kruszec złoty bez najmniejszej skazy!”
(Tak dzisiaj ktoś o tobie napisał w gazecie!)
A w salonie mówiono, żeś jedna na świecie!
Że „górze” masz cudowną, że „wykwint twjej frazy”...
(zapamiętałem dobrze te dziwne wyrazy?...)

Cóż z tego, gdy cię skryły morza zimne fale...
A takby dobrze było, gdybyś była z nami!
Ja bym ci Maria znalazł innego z farbami,
Co by oczu malował twych „błękitne dale”!

(Tak zda się o twych oczach śpiewał biedny Mario!)
Gdybym przeczuł – to podczas pierwszego antraktu
Powiedziałbym ci wszystko i zabrał do siebie!
Nie słyszałbym modlitwy twjej z drugiego aktu!

I każdy mnie pociesza, (choć ja nie wierzę),
Że ty żyjesz, że śpiewasz jutro „Bał maskowy”,
Że wybrałaś z twych partii jedną z popisowych
Na pożegnalny, wielki twój występ w operze!

[Wiersz poświęcony zmarłej śpiewaczce Marii Bojar-Przemienieckiej]

Stefan Heine – człowiek z budki suflera

Był – suflerem, znawcą teatru, tłumaczem, poetą. To prawda, że zawód suflera ułatwił mu poznanie teatru. [...]

Ponad czterdzieści lat podpowiadania nie sprawiło, aby aktorzy jednakową mieli o nim opinię. Z szacunkiem i uznaniem odnosili się do niego aktorzy wybitni, choć ... najmniej korzystali z jego usług. Był natomiast niedoceniany, a czasem nawet lekceważony przez tych, nad którymi pracował setnie, a którzy każdym pojawieniem się na scenie dowodzili fatalnej pomyłki w wyborze zawodu.

Czy istnieją jakieś obiektywne oceny suflera? Jego rola w teatrze była inna kiedyś, inna jest dziś. Różnica stąd się bierze, że dawniej, przed wojną, jak to obrazowo określają ci, którzy pamiętają, aktor szedł na kolację po premierze i w czasie tej kolacji dostawał tekst nowej roli. Nadrobienie braku czasu, braku pamięci, zmęczenia należało do suflera. [...]

Stefan Heine wymieniał dwie podstawowe cechy dobrego suflera: winien mieć znakomity szept oraz umieć inteligentnie milczeć. Znakomity szept to taki, który panuje nad zgłoskami syczącymi i zgrzytającymi, szept nośny na odległość między suflerem a aktorem, ale nie docierający na widownię. Natomiast pojęcie inteligentnego milczenia zawiera w sobie ogromną wiedzę, doświadczenie i osobistą kulturę suflera. Musi on znać teatr na wskroś, by odróżnić przerwę w wygłaszaniu tekstu zamierzoną przez aktora od tej, która wynika z zapomnienia roli. [...]

Aby zaś darować sobie uwagi ogólne: Stefan Heine znał znaczną część dramatów światowych i polskich na pamięć, oglądał je w wykonaniu scenicznych przeróżnych autorów, wśród nich tych największych, dysponował więc obfitymi kryteriami oceny, w toku zaś kilkudziesięciu lat wykonywanej pracy zgłębił psychikę aktorów. [...]

Żartem więc (współ ze swoimi kolegami z budki suflerskiej) dokonywał klasyfikacji aktorów w zależności od stopnia, w jakim korzystali z pomocy suflera, na: „biblijnych”, „armatnich” i „mętlików”. „Biblijni” to tacy, co do których „nie wiecie dnia ani godziny”, kiedy akcję pogmatwiają, pomylą się sami i wprowadzą w błąd innych. Do „armatnich” można strzelać z armat, a również nie usłyszą. „Mętlik zaś to aktor drugorzędny, nie skoncentrowany, który wprowadza zamęt w przedstawieniu. [...]

Jako przykład wsypy wzniosłej opowiedział Stefan Heine własne przeżycie w czasie spektaklu „Szaleństwa”, w którym w głównej roli wystąpiła na scenie łódzkiej Irena Eichlerówna. Heine uwielbiał tę aktorkę, że zaś z pomocy suflera na ogół nie korzystała, pod koniec ostatniego aktu całkowicie uległ czarowi jej gry, zasłuchiwał się i zapatrzył i zapomniał o swych obowiązkach. W ostatniej scenie sztuki postać kreowana przez Leona Pietraszkiewicza rzucała pytanie: „Dokąd idziesz, Elżbieto?” – na co Eichlerówna odpowiadała: „Idę zmienić suknię...” i spadała kurtyna. Ale oczarowany Heine zapomniał dać sygnał opuszczenia kurtyny i czekał, co będzie dalej. Dopiero dyskretne znaki zdenerwowanego Pietraszkiewicza przywróciły mu przytomność. Aktorka dąsała się, kiedy ją przepraszał, ale w czasie tych dąsów i przeprosin wszedł dyrektor administracyjny teatru Stefan Tymowski z wiadomością, że widownia domaga się jej ponownego wyjścia. Vox populi przesądził. Widocznie to, co się stało, nie zepsuło spektaklu. [...]

Ciągnęło Stefana Heinego do teatru od lat najmłodszych, a to za sprawą rozkochanej w teatrze matki Marianny Ciesielskiej. Ojciec, Karol Gustaw był mu dość daleki, kiedy zaś w czasie drugiej wojny światowej podpisał volkslistę – stał się osobą nieznaną. W wieku lat szesnastu podjął Stefan Heine pracę w Teatrze Popularnym pod dyrekcją Józefa Pilarskiego, wydawało mu się bowiem, że chce być aktorem. Został suflerem, wiernym teatrowi do zgonu, natomiast o tych swoich wczesnych marzeniach tak później mówił: „Nigdy potem nie żałowałem, że nie zostałem aktorem”. [...]

Miał Heine drugą pasję obok teatru. Była to muzyka. Ze swoich skromnych zarobków człowieka nie przystosowanego, subtelnego kupował płyty, zdobył się na magnetofon, by z morza dźwięków nadawanych przez radio wyłapywać te najpiękniejsze, na których kupno nie było go stać. I swoje wolne godziny wypełniał słuchaniem Bianki Scacciati, Ady Sari, Selmy Kurz, Marii Bojar-Przemieckiej – ich głosy fascynowały go. Nie pozostawał im dłużny, pisząc, a następnie recytując do własnego skromnego mikrofonu wiersze im poświęcone. Nie wiadomo, kiedy je napisał. Niektóre powstały przed albo w czasie wojny. Bo nie oznaczał ich datami. Znalazłem tylko maszynowe kopie. Widocznie oryginały próbował gdzieś opublikować, ale nie miał szczęścia do ludzi życzliwych, nie trafiły na łamy, nie dostały się do rąk krytyka, którego uwagi mogłyby pomóc. [...]

Jest to przedziwna poezja, której treść stanowią reminiscencje słuchanej muzyki, zwłaszcza śpiewu. [...]

O ile wiem, do jednej tylko z osób, dla których pisał, dochodziły te jego upoetyzowane pochwały. Była nią Ada Sari. [...] Z ich obszernej korespondencji wynika, że Heine był powiernikiem Ady Sari, kimś jej bliskim, komu kultura polska zawdzięcza, że znakomita ta śpiewaczka nie zarzuciła sztuki wkrótce po wojnie, że przekazywała swoją głęboką wiedzę innym, wtedy jeszcze, kiedy niewiele sił jej zostało. Listy Ady Sari do Heinego świadczą, że niezwykłość tego człowieka nie jest tylko moim wymysłem.

„Głoszę wszystkim na oko – pisała w lutym 1956 roku – że mam b. kochanego i wiernego przyjaciela, a zarazem pierwszorzędного znawcę sztuki naszej śpiewaczki – krytyka wspaniałego – rozumiejącego się na emisji głosu, na interpretacji i w ogóle wykonaniu danego utworu. Wierz mi, Stefanie, że zawsze Twoje zdanie wypowiedziane o którejkolwiek artystce śpiewaczki – było nadzwyczaj trafne, a świetnie pochwycone uwagi co do głosu tj. emisji, czyli szkoły – zadziwiające”. [...] Ich znajomość, która przerodziła się później w przyjaźń, datowała się, jeśli nie sprzed wojny, to co najmniej z lat okupacji. [...] Ada Sari była chyba jedyną uwielbianą przez niego artystką, z którą utrzymywał osobisty i to tak blisko kontakt. Ale pisywał też wiersze o innych śpiewaczkach, których głosy znał tylko z zapisu. [...] W życiu było mu trudno i źle, toteż szukał ukojenia w sztuce. [...] Uwielbiał Irenę Solską, Irenę Eichlerównę, Marię Dąbrowską, ciepło wspominał Wandę Siemaszko, Antoninę Dunajewską, ale wierszy o nich nie pisał. [...] Inny przedmiot jego uwielbienia, Irena Eichlerówna zdawała się nie widzieć w Stefanie Heinem wiele więcej niż tylko suflera, no, może bardziej ambitnego niż inni. On tał w głębi serca odrobinę do niej żalu, ale to w niczym nie umniejszało jego zachwytu dla artystki i jej sztuki. [...] Ale jego zainteresowanie teatrem z latami malało. Zapewne rozczerowania, jakich doznawał, przygasiły entuzjazm. Teatr, z którego przeszedł na emeryturę, miał swoje złe lata, w ciągu których dostało się nie tylko Heinemu. [...]

Fragm. rozdz.: *Człowiek z budki suflera*. W: *Passe-partout w ciepłym kolorze* / Jerzy Urbankiewicz. - Wydawnictwo Łódzkie, 1984. - S. 176-189

Zapraszamy na Wystawę Działu Zbiorów Specjalnych zatytułowaną „Muzy Stefana Heinego. Korespondencja Ady Sari i Ireny Eichlerówny”.

W dniu 5 listopada 2007 roku WiMBP im. Marszałka Józefa Piłsudskiego zakupiła zestaw materiałów rękopiśmiennych obejmujący korespondencję Ady Sari i Ireny Eichlerówny. Jej wspólnym adresatem jest Stefan Heine – postać dziś całkowicie zapomniana. Co mogło łączyć jedną z najświetniejszych śpiewaczek koloraturowych o światowej sławie i Irenę Eichlerównę, aktorkę zaliczaną do grona najwybitniejszych polskich aktorek XX wieku, którą nazywano „drugą Heleną Modrzejewską” lub „polską Eleonorą Duse” z suflerem Teatru Powszechnego w Łodzi? Wystawa jest próbą odpowiedzi na to pytanie.

Na początku przybliżamy współczesnym postać głównego bohatera - człowieka z budki suflera. Stefan Heine urodził się 18 lutego 1909 roku w Łodzi. Już od najmłodszych lat związany był z teatrem (za sprawą rozkochanej w teatrze matki, Marianny Ciesielskiej). W roku 1924, w wieku lat szesnastu rozpoczął pracę w Teatrze Popularnym pod dyrekcją Józefa Piłarskiego, gdzie na scenie przeznaczonej dla robotniczej widowni został suflerem. Po czterech sezonach przeniósł się do Teatru Miejskiego, a następnie do Teatru Kameralnego, w których pracował aż do wybuchu II wojny światowej. Po wojnie pracował w zorganizowanym przez Henryka Szlezyńskiego teatrze dramatycznym, a od 1952 - aż do końca swojej zawodowej drogi, tj. do roku 1969 - w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Pomimo początkowych ambicji aktorskich przez 45 lat (z przerwą na czas okupacji) pracował jako sufler. Mawiał:

„Nigdy potem nie żałowałem, że nie zostałem aktorem. Nie musiałem być aktorem, bo nigdy się nie nudziłem ze swoją osobowością”. Nie zmienił specjalności pomimo namów samego Juliusza Osterwy.

Stefan Heine pracował z plejadą polskich aktorów: Solską, Przybyłko-Potocką, Stępkowskim, Węgrzynem, Jaraczem, Osterwą, Wysocką oraz **Ireną Eichlerówną**, którą cenił najwyżej spośród polskich aktorek i o której pisał: **„Uległem czarowi wielkiego artyzmu Eichlerówny już podczas jej pierwszego występu w Łodzi i trwam w tym oczarowaniu do dziś!”** (Irena Eichlerówna wystąpiła po raz pierwszy na łódzkiej scenie w maju 1939 roku).

Po wojnie pan Stefan zaczął tłumaczyć. Najpierw pieśni niemieckich kompozytorów później, to co mu było bliskie:

Sudermanna, Wedekinda i Strindberga.

Jego autorstwa są przekłady takich sztuk, jak **Demon ziemi Franka Wedekinda**, która grana była w teatrach w Opolu i w Rzeszowie oraz **Sobótka Hermana Sudermanna** - sztuka przetłumaczona na potrzeby Teatru Powszechnego w Łodzi. Kilka przetłumaczonych przez niego dramatów nadał też Teatr Polskiego Radia. Z korespondencji wynika, że pan Stefan tłumaczył przede wszystkim tę sztukę, w których mogłaby i chciałaby zagrać **Irena Eichlerówna**. Pan Stefan cenił ją najwyżej spośród polskich aktorek: **„ma w sobie wszystko, co w tradycji aktorstwa polskiego najlepsze”.**

Jego drugą pasją obok teatru była muzyka. Z korespondencji wiemy, że była w jego życiu osoba, którą darzył wielką estymą i miłością i z którą utrzymywał osobisty i bliski kontakt – była nią **Ada Sari**, wybitna śpiewaczka operowa. Rozkochany w jej śpiewie, z czasem stał się jej powiernikiem, kimś jej bliskim. Ich znajomość, która przerodziła się później w przyjaźń, datowała się jeśli nie sprzed wojny, to prawdopodobnie z czasów lat okupacji:

„Głoszę wszystkim na około, że mam bardzo kochanego i wiernego przyjaciela, a zarazem pierwszorzędного znawcę naszej sztuki śpiewaczej – krytyka wspaniałego rozumiejącego się na emisji głosu, na interpretacji i w ogóle wykonaniu danego utworu” – tak pisała do Stefana Heinego Ada Sari w lutym 1956 roku.

Stefan Heine był także poetą - pisał wiersze, których treść stanowiły reminiscencje słuchanej muzyki, a zwłaszcza śpiewu.

Pod koniec życia Stefan Heine rozpoczął współpracę z programem III Polskiego Radia, dla którego nagrał cieszący się dużą popularnością cykl gawęd teatralnych. W 1963 roku został wyróżniony Odznaką Honorową miasta Łodzi. Zmarł 24 października 1972 roku w wieku 63 lat.

Stefan Heine przez 45 lat pozostawał w cieniu swojego zawodu. Dla nie znających go bliżej, nieświadomych jego pasji i zainteresowań był tylko „człowiekiem z budki suflera”. Tymczasem nawet dziś trudno sprecyzować jego profesję - był bowiem i wybitnym znawcą teatru, i krytykiem teatralnym, i tłumaczem, i muzykoznawcą i poetą. Mamy nadzieję, że nasza wystawa pozwoli ocalić go od zapomnienia i przywrócić należne mu miejsce na mapie kulturalnej Łodzi.

Wystawa została przygotowana przez Dział Zbiorów Specjalnych według koncepcji Elżbiety Domagalskiej

Podziękowania :

- Serdecznie dziękujemy p. Lilianie Olech, kierownikowi Działu Sztuki Profesjonalnej i biura organizacyjnego Międzynarodowego Festiwalu i Konkursu Sztuki Wokalnej im. Ady Sari w Nowym Sączu za podarowanie nam plakatów
- Serdecznie dziękujemy p. Michałowi Smolisowi z Działu Literackiego Teatru Narodowego w Warszawie, kuratorowi wystawy zorganizowanej w 100-lecie urodzin Ireny Eichlerówny za serię kart pocztowych promujących wystawę oraz monografię poświęconą aktorce
- Serdecznie dziękujemy p. Ewie Pilawskiej Dyrektorowi Teatru Powszechnego w Łodzi za możliwość przejrzenia materiałów poświęconych Stefanowi Heinemu i wypożyczenie jednego z nich.

Elżbieta Domagalska



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
w Łodzi

ul. Gdańska 100/102
90-508 Łódź
Tel.: 0-42 636-68-35 (sekretariat)
Tel.: 0-42 637-30-90 (centrala)

www.wimbp.lodz.pl

Redakcja: Małgorzata Cegielko
Wybór materiałów: Julita Lendzian-Twardowska,

Skład komputerowy: Małgorzata Cegielko
Nakład: 200 egz.

Numerzy BIBiKa dostępne są
na stronie

www.wimbp.lodz.pl

w dziale

Nasze publikacje

WiMBP zaprasza

27 listopada 2008 r. o godz. 17.30 na spotkanie z Cezarym Szczepaniakiem

profesorem Politechniki Łódzkiej o Jego twórczości poetyckiej

Prowadzenie spotkania – Julita Lendzian-Twardowska

Dyskusyjny Klub Książkowy przy WiMBP w Łodzi zaprasza na dyskusję o książce Olgi Tokarczuk „Bieguni”

Spotkanie odbędzie się w dniu **9 grudnia o godz. 17.00**
w sali konferencyjnej Biblioteki na II p. (ul. Gdańska 100/102).

10 grudnia 2008 r. o godz. 12.00 na spotkanie z Danutą Muchą

poetką, tłumaczką, krytykiem literackim, autorką 23 książek dla dorosłych i dzieci, adiunktem w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego w Piotrkowie Trybunalskim, członkiem Związku Literatów Polskich – Oddział w Warszawie.

Nowa publikacja Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi

Stambuł i Egipt na dawnej fotografii jest kolejną publikacją prezentującą wybrane fragmenty bogatych zbiorów specjalnych Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka J. Piłsudskiego. W Dziale Zbiorów Specjalnych Łódzkiej Książnicy w kolekcji fotografii znajduje się również zespół 243 zdjęć pochodzących z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku. Prawdopodobnie zostały przywiezione z podróży po Bliskim Wschodzie przez jednego z przemysłowców łódzkich – Alfreda Biedermana (1866-1936).

W styczniu 1900 r. razem z poślubioną Martą Anną Berens udał się w podróż po Włoszech i Egipcie. W czasie zwiedzania zabytków, podobnie jak większość zamożnych ówczesnych turystów, kupili w hotelu lub w zakładzie fotograficznym kilkadziesiąt pozytywów.

W wydany przez Bibliotekę albumie zamieszczono 216 zdjęć przedstawiających architekturę Stambułu, sceny uliczne i fotografie ludzi Orientu, widoki Kairu, zabytki starożytnego Egiptu. Na 89 reprodukowanych fotografiach znajduje się podpis „J.P. Sebah”, na 71 - spółki „Sebah & Joaillier”, na 18 - „Zangaki” i na 15 - „Bonfils”, na 1 - „Apollon”, na 1 - „E. Lauro”. Pozostałe 21 fotografie mają nieczytelne napisy.

Przypuszczalnie wykonawcą prawie 36% reprodukowanych w albumie zdjęć jest znany i nagradzany fotografik Pascal Sebah (1823-1886), który przyjechał do Stambułu z Francji i otworzył w tym mieście zakład fotograficzny, w którym oprócz tysięcy zdjęć portretowych powieślał od 1857 zdjęcia architektury miasta w celu sprzedaży turystom.

Po śmierci Pascala Sebah, zakład odziedziczył jego syn Jean Pascal Sebah (1872-1947). Prawdopodobnie ze względu na młody wiek i brak doświadczenia musiał wówczas przyjąć za współnika fotografa J. Joaillier. Odtąd zdjęcia sygnowano „Sebah & Joaillier”. W 1890 wszystkie pozostawione przez ojca nie sygnowane klisze podpisał „J.P. Sebah” dla odróżnienia od klisz wykonanych po tym roku w zakładzie prowadzonym pod firmą „Sebah & Joaillier”.

Fotografie sygnowane „Zangaki” pochodziły z zakładu fotograficznego Constantine i George Zangaki - braci narodowości greckiej, którzy w latach 1860 - 1880 specjalizowali się w zdjęciach brzegów Nilu, piramid, budowli antycznych, scen w Kairze i grup etnicznych. Kolejny autor zdjęć zamieszczonych w albumie to fotografik Felix Bonfils (1831-1885), właściciel zakładu w Bejrucie.

(Ze Wstępu autorstwa Jacka Strzałkowskiego)

***Album Stambuł i Egipt na dawnej fotografii jest do nabycia w WiMBP w Dziale Informacji Naukowej
(cena 40 zł).***